AS



Nr. 6.
9 LUTEGO 1936 R.
CENA 40 GROSZY.

PANI W KARAKUŁACH...



ŚLADEM WIELKIEGO FILOZOFA...

NAPISAŁ: WINCENTY RAPACKI

Rozpoczęcie feljetonu anegdotką jest wynalazkiem bardzo dawnych czasów. Forma ta nie straciła jednak prawa obywatelstwa i dzisiaj.

Co to jest anegdota?

Anegdota jest to autentyczna historja, która nigdy nie miała miejsca. Powodzenie anegdoty zależy w dużym stopniu od obsady głównych ról. Inaczej słuchamy tej samej sztuki, jeżeli tytułową rolę gra Stępowski, a inaczej jeżeli ją odtworzy nieznany histrjon.

A zatem pozwólcie, że zacznę moją anegdotę od... anegdoty!

Do Puszkina przyszedł rudowłosy młodzieniec i wręczył wielkiemu poecie pięknie wykaligrafowaną rozprawę filozoficzną, prosząc o łaskawą ocenę swej literackiej pracy. Artykuł był podpisany imionami Jean-Jacques.

— Nazywam się Iwan Jakowlew i muszę sobie oddać sprawiedliwość, że na ewolucje światowe patrzę z tego samego punktu co i słynny Rousseau. Jednem słowem, jestem dalszym ciągiem tego filozofa. Dlatego i podpisuję się Jean-Jacques, do czego uprawnia mnie moje imię i nazwisko.

Puszkin przeczytał traktat filozoficzny rudego młodzieńca i zapytał:

— Pan zna francuski język?

— Znakomicie. Pana Rousseau'a czytałem w oryginale.

— Niech więc pan posłucha, oto moja opinja:

Vous êtes Jean
Vous êtes Jacques
Vous êtes roux
Vous êtes sot
Mais Vous n'ête pas
Jean Jacques Rousseau.

Co się potem stało, kronika milczy.

Któż się nie wzruszył szczerem przyznaniem się do błędów J. J. Rousseau, a szczególniej do kradzieży zegarka? Może nie wszyscy dorównali mu w rozwiązywaniu zagadnień społecznych, zato w eskamotowaniu zegarków o ileż go przewyższyli. Idąc śladami wielkiego filozofa i ja pragnę postawić się pod pręgierz ogółu i opisać te chwile swojego życia, kiedy lekceważąc kodeks karny o mało, że nie zostałem lokatorem schludnego pokoiku, z którego na błękit nieba patrzy się przez kraty.

A działo się to w mojem rodzinnem mieście Krakowie. Afisze obwieściły występy Wincentego Rapackiego syna w Ptaszniku z Tyrolu.

Ptasznik z Tyrolu...
Gdzież te czarowne czasy?
Ptasznik z Tyrolu...

Kiedy brat mój Józef stawał do wojska otoczyła go zgraja poborowych, ażeby się rozprawić z elegantem. Zwyczaj ten uświęcony tradycją cieszy się do tej pory popularnością. Rozprawa już miała sę rozpocząć. Nagle rozległ się chrapliwy głos:

— Puścić go, to brat Ptaśnika!

Brat Ptaśnika. Ten magiczny wyraz wystarczył, aby uwolnić eleganta poborowego z przykrych opresji.

— Brat ptaśnika — powtórzył chór, patrząc z podziwem i schylając głowy z wielkim szacunkiem.

Ponieważ w dalszym ciągu naśladując Rousseau będę mówić o sobie źle z całą bezwzględnością (jak to już wyżej zapowiedziałem) przysługuje mi prawo oświetlić także i dodatnie strony mojego życia.

Otóż występy cieszyły się dużem powodzeniem. Byłem upojony patrząc na olbrzymie plakaty z mojem nazwiskiem. Cóż kiedy te piękne dni Aranjuezu zmącił swojemi zasadami dyrektor teatru.

Pewnego wieczoru poprosiłem go o należne mi honorarjum. Oburzył się nie na żarty i zawołał:

— Kochasiu, psie podły, ja z zasady występowiczom nie płacę, to jedno, a po drugie masz bogatego ojca, więc żadnych pieniędzy ci nie dam. Widziałeś jakiemi litearmi cię wydrukowałem?

— Widziałem, owszem, bardzo się cieszę, ale... ja nie mam na obiad i w hotelu jestem winien.

— Na to mnie nie weźmiesz kochasiu, psie podły... Ja muszę myśleć o moich biednych aktorach krakowskich, a nie o bogatych występowiczach warszawskich. Taką mam zasadę, kochasiu.

Najczarniejszym punktem w tej sprawie było to, że Myszkowski istotnie wierzył w bogactwo mojego ojca. A występy traktował jako wielkopański wybryk popsutego przez fortunę śpiewaka teatrów rządowych. W owych czasach były dwie arkadje w Warszawie, teatr rządowy i „Kurjer Warszawski". Marzeniem literatów był „Kurjer Warszawski", artystów dramatycznych, teatr rządowy Dwie instytucje „murowane".

Ale wracam do parku krakowskiego i do moich występów. Zasady dyrektora operetki rozbudziły we mnie instynkty buntownicze.

Postanowiłem silnie zaprotestować i po pierwszym akcie zażądać pieniędzy pod groźbą zerwania przedstawienia.

Tymczasem słynna artystka Hofmanowa, którą poznałem kiedy w towarzystwie... mając rok i trzy miesiące, zjawiła się w teatrze ażeby mnie po latach odwiedzić, licząc, że od tej pory kiedy się uczyłem chodzić, musiały zajść w moim intelekcie poważne zmiany.

Po pierwszym akcie wpadła do mojej garderoby. Cały teatr był poruszony, że Antonina Hofman, rywalka Modrzejewskiej osobiście przyszła mnie odwiedzić.

— Wicek brawo, bardzo szlachetnie.

To były jej słowa.

Tę szlachetność w grze wyrzucało mi wielu, a reżyserowie nazywali to brakiem temperamentu. Naturalnie, że o buncie z mojej strony nie było już mowy. Pragnienie protestu zastąpiła duma.

Nic dziwnego, były to czasy, kiedy ceniło się zdanie wielkich artystów.

— A widzisz kochasiu, psie podły, jaki cię zaszczyt spotkał — rzekł Myszkowski i na tem się skończyło.

Teraz rozpoczyna się karta zbrodnicza mojego żywota. Była godzina dwunasta.

Słońce świeciło złotym blaskiem, hejnał z wieży Marjackiej rozbrzmiewał na cztery strony świata, a ja drugi dzień bez obiadu, stałem przed uroczą wystawą Hawełki. Uśmiechała się do mnie szynka, nęciła bryndza węgierska, wabiły słynne kanapki.

Wszedłem bocznemi drzwiami przez bramę i powiedziawszy sobie „Jacta alea esto" kazałem podać kiełbasę z kapustą i małe piwo. Nader uprzejmy subjekt spełnił natychmiast moje życzenie.

Lokal Hawełki składał się z kilku salonów. Ceremonja płacenia za skonsumowane potrawy była bardzo wygodna dla tych, którzy nie chcieli płacić. Trzeba było przejść przez trzy salony a w czwartym dopiero rezydował kasjer, który przyjmował pieniądze.

Wiedziałem o tem i to jest okoliczność obciążająca.

Po śniadaniu, które było moim obiadem i kolacją, zamiast spacerować po salonach i szukać kasy, wymknąłem się bocznemi drzwiami. Wpadłem do hotelu i napisałem list do mojego „bogatego" ojca, ażeby mi natychmiast przysłał pieniędzy. Markę wziąłem na kredyt od portjera. Jak wisieć to za obie nogi.

Na drugi dzień wszedłem znowu do Hawełki i po śniadaniu wymknąłem się bezczelnie przez bramę. Minął tydzień. Pieniądze nie nadchodziły.

Dziwiło mnie bardzo, że nikt nie zwracał uwagi na moje karygodne machinacje. Subjekt, który mnie obsługiwał stawał się z każdym dniem milszy. Proponował mi zmianę menu na kotlet wieprzowy lub szczycel cielęcy.

Nie chciałem, kiełbasa była najtańsza. To wpływało kojąco na moje sumienie.

Nareszcie przyszły pieniądze.

Jak bomba wpadłem do Hawełki i z triumfującą miną stanąłem przed kasjerem. Wyobrażałem sobie, jak szeroko otworzy oczy gdy mu opowiem o mojej defraudacji i jakiem to będzie dla nich ostrzeżeniem na przyszłość.

— Proszę pana już drugi tydzień mija, kiedy...

Kasjer przerwał mi:

— Czy szanowny pan chce łaskawie płacić?

— Właśnie. Ale nie tylko za dzisiaj, bo muszę się przyznać...

Kasjer wyjął gotowy rachunek i rzekł:

— Z dniem dzisiejszym należy się szesnaście koron i osiemdziesiąt pięć halerzy.

— Jakto, więc pan wiedział? — spytałem zdumiony.

— Ależ naturalnie.

— No i nic nie mówiliście? Przecież ja mogłem wyjechać.

— Ależ proszę szanownego pana! Nasz zakład wie doskonale co, jak i z kim. Bardzo dziękujemy szanownemu panu... Było nam bardzo przykro, że pan zadawalniał się tak skromnem śniadaniem... Nasz subjekt miał nakazane, aby szanownemu panu proponować coś solidniejszego... nie udało się. Szanowny pan raczył jeść codzień kiełbasę!

Moje przyznanie się do winy nie zrobiło takiego efektu, jak przyznanie się do winy pana Rousseau.

Po przedstawieniu byłem na kolacji z dyrektorem Myszkowskim.

— Widzisz kochasiu, psie podły. Takie występy to reklama dla ciebie. Możesz mówić, że ci płaciłem sto koron za wieczór.

Mogę mówić, — pomyślałem — tylko, że nikt nie uwierzy.

Wyjechałem z Krakowa zadowolony.

Bądź co bądź zbierałem codzień rzęsiste brawa a zamiast koron wywiozłem piękne wspomnienia i pochwałę Hofmanki.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 6 **Niedziela 9 lutego 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 6-GO:



Mistrz świata w jeździe figurowej na lodzie, Karol Schäfer zdobył ostatnio na rok bieżący tytuł mistrza Europy i wkrótce stanie do ostatecznej rozgrywki na olimpijskim torze w Garmisch-Partenkirchen. Widzimy go na zdjęciu w chwili, gdy wpisuje się do pamiętnika swej młodziutkiej koleżance, Yetsuko Inadzie, mistrzyni Japonji.

MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ OŚWIĘCIMÓW



Tarcza herbowa Stanisława Oświęcima.



Tarcza herbowa Anny Oświęcimówny.

W naturze ludzkiej leży skłonność do podkreślania własnego lub cudzego nieszczęścia, wyolbrzymiania tragicznych wypadków i lubowania się w sytuacjach ponurych i niesamowitych. Być może, że główną rolę odgrywa tu chęć wywołania współczucia u bliźnich i uzyskania u nich moralnego poparcia w chwilach dla przyszłości człowieka przełomowych. Jakkolwiek się jednak sprawa ma, nie da się zaprzeczyć, że ludzie zadowoleni i szczęśliwi budzą co najwyżej zazdrość w najbliższem otoczeniu, rzadko jednak stanowią przedmiot zainteresowania dla szerszego ogółu. W szczególności odnosi się to do szczęśliwej miłości, która dla szarego tłumu jest rzeczą nudną i nieciekawą. Historycy i kronikarze podają nam bardzo mało przykładów szczęśliwych małżeństw i miłosnych związków, wspominają jednak wielokrotnie i to z szczególną lubością o ludziach, którym miłość zgotowała życie, pełne dramatycznych przejść i którzy przypłacili ją śmiercią w okolicznościach mniej lub więcej niezwykłych. — Miłość i śmierć jest też tematem ulubionym dla poetów, zwłaszcza romantycznych, zdaje się jednak. jakoby właśnie dzięki śmierci, a nie potędze uczucia, które szeregowi nieszczęśliwych kochanków kazało wyrzec się dalszego życia, pewne nazwiska utrwaliły się w pamięci inteligentnego ogółu. Śmierć stała się w tych wypadkach probierzem siły uczucia, nie można jednak wątpić, że wywołały ją tylko niepomyślne dla kochanków okoliczności. I chociaż miłość Romea i Julji, Antoniusza i Kleopatry, Hery i Leandra stała się przysłowiową, świadczyłoby to źle o wzajemnym stosunku do siebie obu płci, gdybyśmy nie przyjęli za pewnik, że niezliczone szeregi równie silnie kochających się par istniały i żyły obok siebie zupełnie szczęśliwie, mimo, że poszły w niepamięć.

Należy przyjąć, że gloryfikowanie nieszczęśliwej miłości tłomaczy się wieczną tęsknotą ludzi za pewnemi symbolami, które utrwalałyby nas w przekonaniu, że jednak istnieją pewne wartości, których znaczenia nie przekreśli żaden gwałt i żadna siła, które nie dadzą się ująć w suche paragrafy prawne i które dla szarego tłumu stanowią coś w rodzaju świętości. Nic też dziwnego, że w opinji ogółu pewne fakty mogą mieć szczególne znaczenie, pewne legendy i opowieści urastać do wielkości faktów, a pewne drobne i nawet niesprawdzone szczegóły przeistaczać się w legendy. I kto wie, czy z punktu widzenia moralności legenda w porównaniu do historji nie jest bardziej wartościową i czy przedewszystkiem nie zasługuje na rozpowszechnienie.

Polacy są naogół narodem niewychowanym w tradycjach romantycznych. Dzieje dawnej Rzeczpospolitej wspominają rzadko o ludziach, którzy zasłynęli z powodu przeżyć miłosnych. Nawet o osławionej Halszce z Ostroga trzeba powiedzieć, że *wogóle* „nie miała szczęścia". W czasach, kiedy na Zachodzie wygrzebywano z lamusa tradycji i historji szeregi ultraromantycznych postaci, kiedy taki Walter Scott czerpać mógł bez ograniczeń ze skarbnicy legend i podań, musieliśmy fabrykować nieszczęsnych kochanków w rodzaju Kmity i Bonerównej i czepiać się drobnych szczegółów, aby stworzyć historję miłości Stanisława i Anny Oświęcimów. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że czasy romantyzmu przekazały dzisiejszym pokoleniom dzieje miłości i śmierci Oświęcimów w formie tak pięknej, że nie ustępują one dziejom osławionych na Zachodzie nieszczęsnych par kochanków, a pod wieloma względami nawet je przewyższają.

W dziejach Stanisława i Anny Oświęcimów zaledwie drobna cząstka jest prawdą, reszta stanowi upiększenie i dowolne wytłomaczenie kilku faktów, którym zaprzeczyć niepodobna, ale które ongiś, przed laty, przedstawiać się mogły opinji zupełnie inaczej, niż dzisiaj, kiedy ogół nastawiony już jest w pewnym określonym kierunku. Stanisław Oświęcim, dworzanin Władysława IV, łowczy sanocki, autor pełnego wagi historycznej Dyaryusza, wydanego w oryginalnym tekście poraz pierwszy przez Czermaka z początkiem bieżącego stulecia, człowiek o wybitnej inteligencji i wytwornym smaku, jest osobistością znaną naszym dziejopisom. O siostrze jego przyrodniej Annie wiemy naogół bardzo mało, a to, co wiemy, ogranicza się do kilku mało znaczą-



Stanisław Bergman: „Stanisław przy trumnie Anny Oświęcimówny".



Na lewo: Portret Stanisława Oświęcima, dworzanina króla Władysława IV.

Na prawo: Portret Anny Oświęcimówny.



cych wzmianek w dzienniku Stanisława Oświęcima i kilku dokumentów oraz napisów w klasztorze OO. Franciszkanów w Krośnie. Faktem jest, że Anna Oświęcimówna zachorowała śmiertelnie w grudniu 1646 r. licząc, zdaje się, lat przeszło dwadzieścia pięć i zmarła 13 stycznia 1647 r., „a nas pozostałych“ — jak pisze Stanisław w swym Dyaryuszu — „nienagrodzonego nigdy, nabawiła żału, a nie mniej wszystką okolicę i sąsiadów, którzy jako za żywota przystojność jej i urodę kochali, tak i po śmierci bez ustanku ciało nawiedzali, życząc ją jeszcze i umarłą widzieć, dlaczego się miało okno w trumnie wyrżnąć“. Faktem jest, że czwartego lutego owego roku przewieziono zwłoki Anny z rodzinnego Potoka pod Krosnem do krośnieńskiej fary, gdzie je na noc złożono. Nazajutrz odprawiono uroczyście akt pogrzebu, pochowawszy je w trumnie, wybitej białym atłasem. Faktem jest, że Stanisław, po skonie swej siostry, powziął myśl wybudowania przy klasztorze OO. Franciszkanów w Krośnie kaplicy grobowej, poświęconej jej pamięci „na znak wiecznej, ze śmiercią samą nie wygasłej miłości, a zarazem boleści“, gdyż, jak to czytamy w akcie fundacyjnym, „ona była jego siostrą najdroższą, której pamięć miała być czczoną w tej kaplicy“.

Ta dziwna miłość dla siostry przyrodniej — dzisiaj bowiem nie ulega żadnej wątpliwości, że Anna nie była jego siostrą rodzoną — miłość większa od miłości dla rodziców, stała się powodem do powstania legendy o chęci zaślubienia jej, podróży Stanisława do Rzymu i jego staraniach u papieża o dyspensę. Legenda ta, jakkolwiek oparta na dawnych opowieściach, skrystalizowała się ostatecznie w pierwszej połowie ubiegłego stulecia i odtąd uważana jest za opartą na realnych podstawach mimo, że sam Stanisław Oświęcim nigdy o miłości swojej w Dyaryuszu nie wspominał i że pewne szczegóły jej nie zgadzają się z faktami histyrycznemi. Stanisław Oświęcim, herbu Radwan, syn Florjana i Małgorzaty z Urska Dunikowskiej, h. Habdank, należał do rodziny szlacheckiej, pochodzącej z ziemi pilzneńskiej i cieszącej się w okolicach Jasła i Krosna wielkiem poważaniem. Okazane na wojnie męstwo i wybitna inteligencja zjednały mu łaskę króla Władysława IV, który przyjął go na swój dwór. Ale ani służba w polu, ani zabawy na królewskim dworze, ani podróże, przedsiębrane na życzenie mocodawców, nie pozwoliły mu zapomnieć o tem, co stanowiło właściwą treść jego życia, o miłości dla siostry Anny. Młoda i piękna Anna była córką macochy Stanisława. Od lat dziecinnych łączyła ją z bratem szczera sympatja, która przerodziła się później w dziwny sposób w czystą miłość, miłość beznadziejną ze względu na prawo kościelne, zabraniające ślubów małżeńskich między tak bliskimi krewnymi. Anna nie zdawało sobie zrazu sprawy ze swego uczucia, z chwilą jednak, kiedy zrozumiała, czem jest dla niej Stanisław, było już zapóźno. Bardzo ładnie mówi o narodzinach tej miłości Bołoz Antoniewicz przez usta Anny, w swym dramacie, p. t. „Oświęcimówna“.

„Nie był to wolny wybór serca mego. O nie! — Ta miłość przyszła nieszukana. Gdym go ujrzała — ona w oczach jego stała, jak w gwiazdach dla mnie zapisana. Jam go ujrzała i nieznanych jeszcze doznałam w duszy błogości i trwogi. Trwogą snać było przeczucie złowieszcze, lecz słabe serce nie chciało przestrogi. — Ah! — Potem coraz w mem łonie niewinnem wzrastał ten płomień, a sama w złudzeniu, myśląc, że kocham go uczuciem rodzinnem, dawałam karmy zgubnemu płomieniu. Zapóźno przyszły rozeznania chwile, późno się rozum zwycięstwa dobijał; już on pokonać nie mógł czucia tyle, bo skutek zwłoki tylko sercu sprzyjał“.



Kościół i kaplica Oświęcimów w Krośnie.

Ale Anna zdobyła się na plan, który świadczy pochlebnie o jej przedsiębiorczości i inteligencji. Zaproponowała Stanisławowi, aby wybrał się do Rzymu i prosił popieża o zezwolenie na zawarcie z nią ślubów małżeńskich. Oświęcim, który był bliski rozpaczy, chwycił się tej ostatniej nadziei, pożegnał siostrę i zniknął prawie na dwa lata. I stała się rzecz nieprzewidziana. Ojciec Święty wysłuchał jego prośby, a szczęśliwy kochanek, upojony radością, doniósł o tem siostrze, która zwątpiła o wszystkiem. Niespodziewana wiadomość o przybyciu brata-kochanka z dyspensą od papieża przyprawiła ją o tak wielkie wzruszenie, iż wskutek niego padła nagle ofiarą śmierci w najpiękniejszej chwili swego życia. Złamany na duchu Stanisław zastał już tylko trupa. Przeżył on niedługo siostrę i kochankę (w rzeczywistości o dziesięć lat) i dopiero śmierć połączyła go z nią na zawsze. Spoczęli we wspólnym grobie w kościele OO. Franciszkanów w Krośnie, w kaplicy, ufundowanej przez Oświęcima po jego powrocie z Rzymu.

Legenda ta, która ze względu na swe dramatyczne pierwiastki zajmowała różnych pisarzy, kompozytorów (Karłowicz) i mala

(Dokończenie na str. 6).

Dokończenie ze str. 5-tej.

rzy (Bergmann) jest najprawdopodobniej fikcją poetycką, jeśli nie zupełną bajką. Wystąpił przeciw niej Karol Szajnocha i kilku innych. Znalazła jednak i zdecydowanych zwolenników. Zasadniczo jest rzeczą obojętną, czy stanowi ona produkt fantazji, czy też opowieść, opartą na istotnych przeżyciach Oświęcimów, którzy, bądź co bądź, są postaciami realnemi. Kaplica Oświęcimów w Krośnie, która w ciągu wieków przechodziła różne koleje, stanowi dziś w każdym razie miejsce, będące celem pielgrzymek przejeżdżających, gdyż wiara w niezwykłą miłość brata i siostry utrzymuje się i utrzymywać będzie pośród tamtejszych mieszkańców wbrew wszelkim dokumentom historycznym, jak długo istnieć będą ich groby. Podanie oparte być jednak może i na pewnych danych rzeczywistych, o których po wiekach trudno wyrobić sobie zdanie. To, że Stanisław nie wspomina w swoim Dyaryuszu o miłości dla siostry, nie stanowi żadnego dowodu. Są pewne tajemnice, których się nie powierza pismu. — Błogosławieństwo papieża uświęca ten niezwykły związek, a radość kochanków jest zbyt wielka, aby ją zdołały znieść wątłe siły człowieka. I dlatego Anna przypłaca ją śmiercią. I w tem podaniu śmierć jest zatem jedynem wyjściem z tragicznej sytuacji. Jest ona w istocie koniecznością, gdyż największe szczęście przeżyte nie dorównuje — według zdania poetów — największej tęsknocie, jaką stwarza niemożność połączenia się.

Gdybyśmy jednak przyjęli za udowodnione, za Szajnochą i Nyczem, że legenda o miłości Stanisława Oświęcima, a w szczególności o jego podróży do Rzymu po dyspensę, jest zwyczajną bajką, to nie zmieni to w niczem faktu, że dzięki uczuciu, jakie go z siostrą łączyło, powstała w Krośnie wspaniała budowla w stylu baroku, stawiana i ozdobiona przez doskonałych architektów (Vincenzo Petroni i Battista Falconi), która przetrwała do naszych czasów i która stanowi bezsprzecznie jeden z najciekawszych zabytków tego miasta. Znajdujące się w kaplicy Oświęcimów portrety członków rodziny fundatora nie mają szczególnej wartości. — Najlepszym jest jeszcze portret samego Stanisława w bogatym, rycerskim, modnym w owym czasie, szwedzkim stroju. Po prawej stronie ołtarza widnieje portret pięknej Anny Oświęcimówny, w długiej, atłasowej, białej sukni, z jasnemi włosami, a pod portretem następujący trójwiersz:

Rex tremendae Majestatis
Qui salvandos salvas gratis
Salva me-fons pietatis.

Ciekawym szczegółem architektonicznym są natomiast czterodzielne tarcze herbowe, umieszczone nad podobiznami Oświęcimów, stanowią one bowiem dowód, że Anna i Stanisław byli tylko rodzeństwem przyrodniem. Na tarczy Stanisława widnieją herby jego, Radwan, Habdank, Brochwicz III i Nowina, podczas na na tarczy Anny herby: Radwan, Habdank, Leliwa i Osorya.

Portrety, herby, kilka dokumentów, kaplica grobowa i trumny — to wszystko, co z dziejów Oświęcimów pozostało. Reszta najprawdopodobniej jest dziełem fantazji ludowej, szukającej zawsze przyczyn i wytłumaczenia i pozostałością po czasach romantyzmu, który nietylko upiększał legendy, ale i stwarzał je. To pewne jednak, że o trwałości podania stanowi zawsze wiara w nie, a tej nie podważy w danym wypadku żadne uczone dzieło i żadna próba wyjaśnienia. — Może tak jednak i lepiej. Na ośmieszanie i prostowanie podań, na „szarganie świętości", które przekazała nam tradycja, nie stać nas, gdyż mamy ich zbyt mało, aby z czystem sumieniem i sercem wyrzekać się legendy pod wieloma względami jedynej w swoim rodzaju. **Wanda de Riche.**

CIEKAWE DROBIAZGI

KIESZONKOWY APARAT ROENTGENA



W ciągu 41 lat od okrycia promieni X, nazwanych promieniami Roentgena na cześć odkrywcy, zmieniło się bardzo wiele. Poznano lepiej naturę tych promieni i przekonano się, że jest właściwie odmianą światła zwyczajnego, tylko o bardzo krótkiej fali. Promienie Roentgena załamują się i uginają, a także dają zjawisko interferencji, podobnie jak światło zwyczajne. Dzięki tym właściwościom promieni Roentgena oddają one olbrzymie usługi w badaniu struktury kryształów. Nie mniejsze jednak znaczenie posiadają promienie te dla techniki. W tym wypadku służą one do wykrywania ukrytych wad materjału. Zwłaszcza w metalurgji aparaty roentgenowskie stały się niezbędnym rekwizytem każdego poważniejszego instytutu badawczego.

Największe jednak znaczenie posiada do dzisiaj aparat Roentgena w medycynie. Służy on tu zarówno dla celów djagnostycznych, tj. dla wczesnego rozpoznawania choroby, jak i dla celów terapeutycznych, czyli dla samego leczenia, zwłaszcza w zachorzeniach, spowodowanych przez nowotwory. Niepodobna sobie dzisiaj wyobrazić zabiegu chirurgicznego bez prześwietlenia Roentgenem. Dlatego też stał się on niezbędnym dla lekarza. W wielu wypadkach jednak stan chorego nie pozwala na przeniesienie jego do atelier lekarskiego w celu prześwietlenia. Aby także i w tym wypadku można było chorego zbadać, skonstruowano szereg przenośnych aparatów roentgenowskich. Poważnem ulepszeniem pod tym względem jest mała kula metalowa o wielkości kuli, używanej przy grze w kręgle. Kula ta skonstruowana przez jedną ze znanych fabryk aparatów roentgenowskich zawiera kompletną aparaturę. Może ona być uruchomiona natychmiast po załączeniu jej do gniazdka elektrycznego w pokoju pacjenta. Działa ona zatem już pod wpływem napięcia sieci świetlnej. Oczywiście napięcie to zostaje w aparacie przetransformowane na napięcie wyższe, potrzebne do wytworzenia strumienia promieni roentgenowskich. Takim małym aparatem lekarz może w każdej chwili zbadać, czy są jakieś zmiany chorobowe, wymagające zabiegu chirurgicznego.

Na ilustracji widzimy tę minjaturową lampę, trzymaną przez lekarkę. Obok dla porównania widzimy kilka innych aparatów Roentgena, a największy z nich to aparat wielkości tej samej, co rura katodowa, użyta przez Roentgena w r. 1895. Postęp jest oczywisty! **Inż. A.**

Z TARCZAMI PRZECIW... TANKOM!



Z chwilą wybuchu wojny włosko-abisyńskiej, Etjopja weszła w orbitę bezpośrednich naszych zainteresowań, a uzbrojenie Abisyńczyków, metoda ich walki i wszystkie inne szczegóły, odnoszące się do krwawych zapasów stały się tematem licznych artykułów. Świat śledził ciekawe zapasy wczesnego średniowiecza, z techniką XX wieku. Jak widzimy na naszej ilustracji, Abisyńczycy wyruszali, oczywiście nie wszyscy, w bój, zaopatrzeni w średniowieczne metalowe tarcze, ozdobione różnemi godłami, jak krzyżami, kulami itd., oraz w nieco staroświeckie karabiny. Obraz jakby wyjęty z czasów wojen krzyżowych! Mimo tego tak „prowizorycznego" uzbrojenia wykazali, że w sojuszu z klimatem i terenem nawet tacy „tarczowi" rycerze mogą przeciwstawić się tankom i karabinom maszynowym. Zapewne niejeden późniejszy historyk i socjolog wyciągnie z tego starcia się dwóch odrębnych kultur i odbiegających od siebie ustrojów społecznych i ekonomicznych ciekawe wnioski. Dla nas, ludzi współczesnych, wojna taka przypomina jakąś wesołą operetkę z muzyką Lehara, czy Falla, rozgrywającą się bezkrwawo na deskach teatru. Niestety, mimo sielankowych pozorów, pociągnęła za sobą duże ofiary.

APÉRITIF
w
Café du Dôme.



„Wielkoświatowa" para stałych bywalców kawiarni.
rys. Witold Mars

Mekką artystów jest Paryż — ośrodkiem życia artystycznego Paryża jest Mont Parnasse — a sercem Mont Parnasse'u to kawiarnia „Du Dôme". Pozornie nie różni się niczem od nieskończonej ilości kawiarni lewego brzegu: niewielka, z tradycyjnym kontuarem, piecykami na werandzie, ustawionemi w razie chłodu, wypaloną niedopałkami papierosów rogożą na podłodze i specyficznie po parysku poufałymi kelnerami — nie jest wykwintniejszą od wielu identycznych lokali tej dzielnicy.

Różnicę stanowi zbierająca się tu publiczność. Tak się jakoś utarło, że każdy artysta w Paryżu, spędza swe wolne chwile przy kawie czy apéritif w tej właśnie kawiarni. Zawsze można tu spotkać znajomych, wypić czasem kawę na czyjś rachunek, a nie-



Entuzjastki sztuki flirtują ze znanym malarzem...
rys. Witold Mars.

kiedy pożyczyć nawet kilka franków. Jest ona czemś w rodzaju zmodernizowanej wieży Babel, ras i narodowości. Oczywiście najłatwiej odróżnia się białych od czarnych i żółtych, zczasem przychodzi umiejętność rozpoznawania Amerykanów północnych i południowych oraz poszczególnych nacyj europejskich. Niektórzy przedstawiciele tych narodów ułatwiają to znakomicie, jak Anglicy przez niezrozumiałą inklinację do rudych kurtek lub Argentyńczycy przez zamiłowanie do pudru i pomady do włosów.

Większość ze spotykanych w kawiarni „du Dôme" ludzi, zwraca uwagę indywidualnością, czy oryginalnością wyglądu, robioną lub naturalną — w skali od gentlemana „na dziko" do wymuskanego pięknoducha. Wśród kobiet spotyka się niemniejszą rozmaitość typów, tualet i maquillege'y, począwszy od modelki, a skończywszy na wytwornej damie z rue Saint-Honoré. W „Dôme" też spotkać można prawdziwe asy plastyki literatury czy teatru — lwy, oblegane przez swych wielbicieli i wzbudzające zainteresowania intelektualno-seksualne kobiet. Zjawiają się i lewki, mające zamiar zostać lwami, nie brak również pudli zrobionych na lwy i przeświadczonych o prawdziwości swego wyglądu. Całe to zgromadzenie jest pierwszorzędną atrakcją dla snobów, którzy tu przychodzą po to, aby obserwować innych snobów przybyłych w tym samym celu, wyobrażając sobie, że oglądają artystów.

W całej kawiarni wre ożywiony rozgwar rozmów i okrzyków — atmosfera jest jakby naładowana elektrycznością, ożywieniem i życiem. Przy stoliku artyści przedyskutowują z całym zapałem problemy, gawędzą i naturalnie... flirtują!



W piękne dnie letnie przed „Café du Dôme" siedzą liczni bywalcy, popijając apéritif. ***rys. Witold Mars.***

Młody przedstawiciel Annamu uwodzi frywolną Rumunkę — murzyn olśniewa swą elokwencją superbiałą Szwedkę, a Amerykanin szuka najprostszych dróg do serca omdlewającej Włoszki. W kącie kawiarni młode Angieleczki skandalizują się panującą tu atmosferą i... własnemi opowiadaniami! Wytworne damy starają się olśnić dzikich artystów — a gentlemani zwiedzający Paryż, wciskając głębiej monokle, obserwują z przejęciem córy muz.



Przy barze panuje duży ruch...
rys. Witold Mars.

Opalizujący „Pernot" lub rubinowy „Amer-Picon" wpływają niezwykle dodatnio na krasomówstwo i przeświadczenie o własnej słuszności. Prawdziwi pijacy piją przy kontuarze, co ma również i finansowe powody, szaleńcy grają jeszcze ponadto na automatach.

W ciągu dnia schodzą się tu artyści dla załatwienia swych spraw, czy wypicia kawy, prawdziwe bujne i gwarne życie rozpoczyna się dopiero wieczorem. Kawiarnia ta posiada jakiś własny nieuchwytny urok, jest w niej „coś", co trudno określić słowami, a co odczuwa się szczególnie mocno w wiosenną, prześwietloną i przepojoną fluidem Paryża noc, kiedy każdy napój wydaje się szampanem, a każda napotkana kobieta wymarzoną kochanką...

Witold Mars.

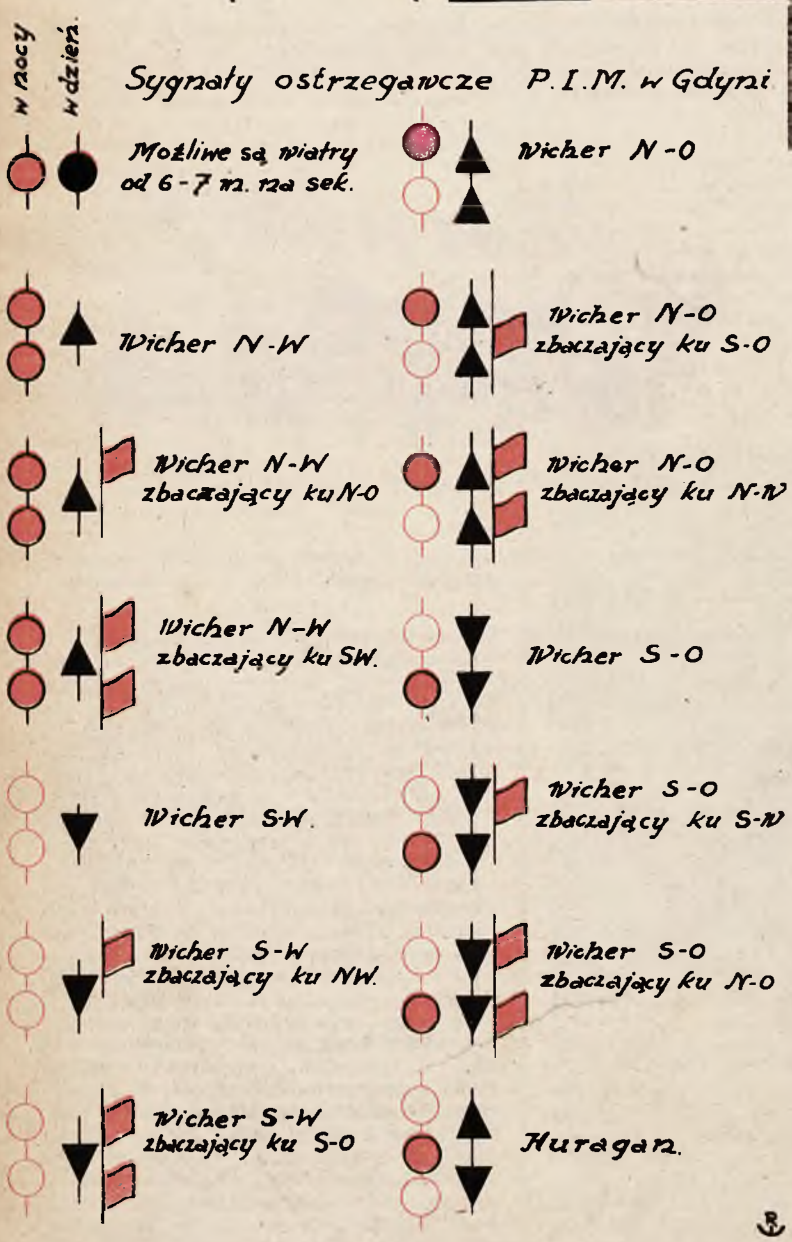
Uwaga!

Uwaga! Na morzu sztorm!





Na prawo: Kuter rybacki wyrusza na połów.



Sygnały ostrzegawcze PIM-a w Gdyni dla rybaków, z których znaki w postaci kółek oznaczają świetlną sygnalizację w nocy, trójkąty i chorągiewki zaś wywieszane są we dnie.

Ciężki i niebezpieczny jest zawód rybaka. Życie jego niemal codziennie jest zależne od kaprysów pogody. Sprzysięga się przeciw niemu wiatr, niebo i morze. Ileż to razy czytamy w gazetach wiadomości o katastrofach łodzi i stateczków rybackich, uniesionych burzą na pełne morze, rozbitych przez wielką falę i pochłoniętych przez bezdenną toń oceanów!

I nietylko żywioł jest wrogiem rybaka. Jego życie i dobrobyt są bardzo często zależne od tych ryb, które łowi. Niech zawieje inny wiatr i zmienia się kierunek ruchu ławic, zmiana temperatury zewnętrznej powoduje zmianę ciepłoty wody, a wraz z temi zmianami, ryby idą wyżej lub niżej w głębi mórz.

Doniedawna jeszcze rybak musiał być doskonałym fachowcem w swoim zawodzie, fachowcem, na którego wykształcenie składały się doświadczenia całych pokoleń i niejedna ofiara, złożona zachłannemu morzu. Rybak musiał poza tem być dobrym nawigatorem, a poniekąd i meteorologiem. Musiał się znać na astronomji, by nieraz żeglować na podstawie obserwacyj gwiazd. wreszcie powinien był być doskonałym ichtiologiem, czyli znawcą życia ryb.

Szybki rozwój techniki w ostatnich latach, jak również postęp w rozwoju meteorologji przyczyniły się w znacznej mierze do ułatwienia pracy rybakom i nieraz przyczyniają się do zabezpieczenia ich przed ryzykiem utraty życia.

Minęły już czasy, kiedy rybak przed wyprawą na dalekie morskie połowy długo oglądał niebo i morze, badał wiatr, obserwował zachowanie się psa podwórzowego, przyglądał się lotowi jaskółek i mew, wreszcie opierał swe spostrzeżenia na „strzykaniu" w kolanie czy ramieniu i z tych objawów stawiał horoskop na najbliższą dobę pogody.

Dziś nauka przychodzi z pomocą rybakowi. Oddaje mu ona nieocenione przysługi i pozwala znacznie bezpieczniej i z lepszym rezultatem wykorzystać czas i narzędzia.

Pod tym względem polskie rybołówstwo morskie stoi na bardzo wysokim poziomie. Korzysta ono z usług Państwowego Instytutu Metereologicznego w Gdyni, na czele którego stoi świetny fachowiec, kapitan żeglugi wielkiej, Stanisław Dłuski.

— Zadaniem Instytutu jest informowanie lotnictwa, Marynarki Wojennej, handlowej i naszych rybaków o zjawiskach meteorologicznych i przewidywanej pogodzie, co na morskim odcinku odgrywa pierwszorzędną rolę. — mówi kpt. Dłuski, dyrektor PIM'a. — Współpraca z rybołówstwem jest niezmiernie ciekawa. Trzy razy dziennie wykreślamy mapy synoptyczne (pogody) na Bałtyku, które są wywieszane w kilku punktach na wybrzeżu, a mianowicie: Gdyni, Helu, Jastarni, Kuźnicy, Karwi, Rozewiu, Pucku i Chłapowie, gdzie Instytut posiada własne stacje



Gmach PIM-a w Gdyni z wieżą, na której wywiesza się sygnały ostrzegawcze.

meteorologiczne i specjalnych obserwatorów pogody. Przebieg i zapowiedzi pogody są trzykrotnie w ciągu dnia komunikowane z Gdyni na wspomniane punkty. Rybacy więc mają możność każdej chwili przekonać się, jakie są kierunki wiatru, jakie jego natężenie i jaka pogoda jest przewidywana na najbliższą przyszłość.

Praca PIM'a w Gdyni jest zupełnie odmienna niż w głębi kraju. Tu ma się do czynienia przedewszystkiem z morzem, które dyktuje pogodę.

Dla ostrzeżenia lub poinformowania rybaków o sile i kierunku wiatrów posługuje się instytut poza wspomnianemi mapami również systemem sygnalizacji na masztach. Sygnalizacja ta jest zaprowadzona w Gdyni na wieży gmachu PIM'a oraz w Helu. Helski maszt jest podzielony na dwie części. Jedna z literą „G" oznacza Gdynię, druga zaś z literą „R" — Rozewie. U dołu masztu są dwa koła — to horyzont. W kole tem obracają się ramiona, które wskazują kierunki wiatrów. U góry jest północ, u dołu południe i t. d. Kierunek ramienia idzie od obwodu koła ku jego centrum. Wyżej na maszcie są zainstalowane po cztery sygnały z każdej strony, które pozwalają odczytać siłę wiatru. Każde ramię oznacza 2 st. według skali Bauforta, przyczem do 6 st. sygnały nie są podnoszone. Tak więc jeden sygnał oznacza 6 stopni, 2 — 8 stopni, a wszystkie cztery podniesione sygnały oznajmiają o szalejącym orkanie o sile 12 st.

Na wieży gmachu w Gdyni sygnalizacja jest inna. Posługujemy się tu systemem tarcz, chorągiewek, stożków.

— Czy poza przepowiedniami pogody Instytut może oddać rybakom inną usługę, n. p. odnośnie ruchu ryb? — pytamy kpt. Dłuskiego.

— Oczywiście! Ruch ryb morskich jest nieraz uzależniony od pogody. I tak dla przykładu zacytuję n. p. wypadek zachowania się dorszy. Gdy tylko wiatr napędza warstwy ciepłej wody do Zatoki Gdańskiej, dorsze emigrują na pełne morze, lubią bowiem wodę chłodną, a przecież Instytut jest każdej chwili poinformowany o temperaturze wody. Wiatr wschodni napędza do Zatoki wodę mniej słoną — wówczas można się spodziewać obfitszych połowów ryb słodkowodnych, przy wiatrach zachodnich, napędzających wodę z Morza Północnego — dzieje się odwrotnie. Mgła powoduje ucieczkę dorszy wgłąb, przy spadku temperatury dorsz podchodzi bliżej ku powierzchni i. t. p. Istnieje w projekcie stworzenie aparatu informacyjnego, któryby zajął się pouczaniem rybaków o możliwościach połowów na podstawie obserwacyj meteorologicznych. Będzie to wielkiem dobrodziejstwem dla rybaków.

— Czy obserwacje Instytutu nad morzem ograniczają się tylko do obsługi żeglugi, lotnictwa i rybołówstwa?

— Nie! Gdyńska placówka bierze udział w pracy jak i każda inna, współpracując ze stacjami całego świata. Poza tem pomaga nieraz do wykrywania pewnych zjawisk charakteru ogólnego, mając możność znalezienia źródeł tych zjawisk właśnie w morzu, nad którem pracuje. W dziennikach czytam — dodaje kpt. Dłuski — że niektórzy meteorolodzy z Bożej łaski, będący raczej astrologami, przepowiadają surową zimę w tym roku. Jestem wręcz odmiennego zdania! Jak w żadnym innym roku, temperatura wody utrzymuje się na wysokim poziomie, a dopiero przed paru dniami sygnalizowano na dalekiej północy pojawienie się pierwszych lodów. W poprzednich latach lody ukazywały się już w końcu października lub początkach listopada. Stąd wnioskować możemy, że grudzień i styczeń będą bardzo łagodne!

— Co daj Boże, amen! — dodajemy w myśli, pomnąc o drożyźnie węgla i obciętych poborach.

Słuchając wywodów kapitana Dłuskiego, zdałem sobie jasno sprawę, jakie olbrzymie postępy poczyniła technika również w zakresie praktyki morskiej i jak dalecy już jesteśmy od tych czasów, kiedy o najważniejszych warunkach nawigacji decydował swoisty „węch" wilka morskiego! Obecnie węch ten zastępują liczne precyzyjne aparaty, które informują „na pewniaka"!

Miłą pogawędkę przerywa urzędnik Instytutu, wzywający kpt. Dłuskiego do radjostacji (własnej) Instytutu dla odbioru meldunków z różnych punktów Europy. Żegnamy miłego gospodarza i wychodząc z gmachu PIM'a, rzucamy mimowoli spojrzenie na maszt sygnalizacyjny. Będzie pogoda!

W. N.



Maszt sygnałowy na Helu. Uwidocznione zestawienie sygnałów wskazuje, że w Gdyni wiatr posiada natężenie 8⁰ według skali Beaufarta, o kierunku południowo - wschodnim, zaś na Rozewiu siłę poniżej 6⁰.



Kapitan Stanisław Dłuski, dyrektor PIM-a w Gdyni.

DZIŚ JEST ZAPÓŹNO!...

NOWELA

Wacław hr. de Laveaux

Ilustr. Zygmunt Haupt

Wczesny wieczór październikowy szybko zapadał. Ponad dworcem unosiły się smugi dymu...

Po ostatnich sygnałach konduktorów, w ogólny zgiełk peronów i odgłos zatrzaskiwanych drzwi wagonowych, wmieszał się ogłuszający syk pary, która gęstemi kłębami okryła ogromne koła lokomotywy. Tłoki przesunęły się w swych łożyskach, obróciły się koła...

Na dworcu w Poznaniu ruszał ekspres „Warszawa—Berlin—Paryż".

Prawie w ostatniej chwili, na schodki wagonu pierwszej klasy wskoczyła lekka jakaś spóźniona pasażerka... Na peronie nawet nie spostrzeżono jej jeszcze, gdy oto tajemnicza dama pewną ręką otwarła drzwi i szybko jej smukła sylwetka zniknęła wewnątrz wagonu.

Z wyrazem ulgi w oczach stanęła chwilkę, by odetchnąć trochę. Na jej twarz, na której malowało się wyczerpanie i podniecenie, a może tłumiony lęk, padł refleks świateł oddalającego się dworca. Nie spojrzawszy nawet w tamtą stronę, wyjęła puder z torebki i starłszy kroplisty pot z czoła wonną chusteczką, zaczęła się pudrować, poczem po kilku dotknięciach karminem i czernią, po kilku spojrzeniach w lusterko, twarz jej przybrała wyraz zupełnie opanowany...

Zapewne z zamiarem wejścia do przedziału, nieznajoma skierowała się w głąb korytarza i chociaż pierwszy przedział był pusty, minęła go, a wchodząc do następnego, zatrzymała się na chwilę w progu...

Zdawaćby się mogło w pierwszej chwili, że na widok pasażerów chciała cofnąć się i możliwe, że nawet było tak w rzeczywistości, ale oto gdy oczy jej padły na dwa duże rozciągnięte płaty francuskiego tygodnika „Marianne", trzymanego w rękach i zasłaniającego twarz jakiegoś pana, wahanie zniknęło i nieznajoma zdecydowanie zajęła miejsce na miękkiej, czerwonej kanapce, obok czytającego. Drugi pasażer przedziału, wyciągnięty najwygodniej w świecie i odwrócony, leżał i zdawał się twardo spać. Pora wprawdzie późną nie była, ale może był znużony podróżą, a może tylko monotonny rytm uderzeń kół o spoidła szyn nastroiły go sennie...

Nieznajoma usiadła i zajęła miejsce niedaleko drzwi.

Na szelest siadającej, czytający pan przestał czytać i oto z poza uchylonej gazety ukazała się twarz młodego człowieka, lat może około trzydziestu, który zaciekawione oczy skierował na nowoprzybyłą.

Śpiący pan nie zareagował wcale...

W przedziale było gorąco, to też nieznajoma otworzyła drzwi od korytarza, ale widząc, że to niewiele pomaga, rozpięła swój futerkowy żakiecik, ukazujący smagły, jak i cała twarz dekolcik i ładną linję szyi, zdobnej sznurem drobnych, ale równych pereł. Niesforne, kruczo-czarne włosy wymykały się spod niedużego kapelusika, a jej płomienne oczy migotały z niesamowitą żywością, to znowu kryły się pod czernią długich, ciężkich rzęs...

Nieznajoma czarowała urodą, swym temperamentem, którego nie potrafiła ukryć w żadnym ruchu... Była piękna i pociągająca, należała do tej kategorji kobiet, których piękność — tak pełna niezwykłej, sugestywnej siły — nie może ujść niespostrzeżenie! Dziecinna buzia wyrażała tyle ufności do ludzi, tyle niewinnej słabości, że wyobrazić sobie trudno, skąd to naiwne, chociaż jakże miłe dziecko wzięło się w przedziale międzynarodowego ekspresu, który oddalał je od mamy i papy!

Nieznajoma oparła się wygodnie i wyciągnąwszy drobne, jedwabiem lśniące nóżki, popadła w zadumę...

Tempo uderzeń kół zwiększało się, czasem zadźwięczała szyba okna, to znowu łoskot konstrukcyj żelaznych wskazywał na to, że pociąg mknie poprzez przerzucone ponad wodą mosty. Razporaz wzmagał się znowu charakterystyczny, głuchy rytm. Swoista wprawdzie, lecz jak porywająca melodja podróży!... Zrozumie ją i odczuje ten, kogo szeroki świat porywa, kto we wędrownem, przygód pełnem życiu szuka swego przeznaczenia.

Wtem nieznajoma, jak gdyby coś przypomniała sobie, otworzyła torebkę i wyciągnąwszy grubą nitkę, nawlekać na nią zaczęła różnej wielkości i barwy korale, wyjmując je po jednym z torebki.

Nie uszło to uwagi młodego człowieka, który dalszego czytania zaniechał i ukradkiem raz wraz spoglądał w stronę nieznajomej... Zauważając ten manewr, widocznie zadowolona, ledwo powstrzymywała się od śmiechu... Wkrótce wszedł konduktor dla sprawdzenia biletów, nieznajoma podała swój. Nie jechała wcale daleko, najdalej do granicznej stacji polsko-niemieckiej, Zbąszynia...

Praca nieznajomej nie trwała zbyt długo, bo oto widząc, że jej współtowarzysz podróży gazety nie czyta, odłożyła nawlekanie i poprosiła o nią. Zwróciła się przytem w języku francuskim, na co nieznajomy odpowiedział akcentem urodzonego Francuza.

W chwilę potem nawiązali ożywioną rozmowę.

Mimo głośnej rozmowy, śpiący pan nie obudził się. Trudno było odgadnąć, jak wyglądał — mówiły o nim jedynie jego plecy, że był człowiekiem barczystym, o silnej budowie.

— Czy pani pozwoli, że zapalę? — zapytał młody człowiek.

— Ależ proszę bardzo!

Otworzył papierośnicę, jednak okazało się, że była pusta. Wstał zatem, biorąc jedną z dwu waliz, silnie i starannie okutych, z żółtej skóry, które ponad nim leżały na siatce, poczem otworzył ją kluczykiem i wyjął z pośród swych toaletowych przyborów paczkę papierosów. Następnie walizę zamknął, kładąc na półce, na drugiej walizie, takiej samej, jak pierwsza.

Równocześnie nieznajoma, wyjąwszy puderniczkę, zaczęła przeglądać się w lusterku, tak niem manipulując, aby widzieć układanie waliz przez młodego człowieka, a zarazem, by to uszło jego uwagi...

Chwilowo przerwana rozmowa potoczyła się dalej.

Tymczasem pociąg mknął i z szybkością strzały zbliżał się do granicy niemieckiej... Noc rozsnuła nad ziemią ciemności!

Odłożywszy gazetę, nieznajoma pani zabrała się znowu do swej zaczętej roboty. Wzięła do ręki sznur już nawleczonych korali i równocześnie drugą zanurzyła w torebce, szukając w niej dalszych. Zrobiła to jednak jakoś tak niezręcznie, a może trzymany sznur pęknął, dość że wszystkie, tak żmudnie nawleczone korale rozsypały się na kanapkę, lub potoczyły się przez otwarte drzwi na korytarz wagonu... Zażenowana poczęła je zbierać — schylił się również młody człowiek.

— O! jaka ja jestem niezgrabna!... bardzo panu dziękuję... Cóż ja zrobiłam! — rozpływała się w żalach.

Koraliki toczyły się to w tę, to w tamtą stronę, umykając przed drobnemi paluszkami smukłej, kobiecej dłoni, chwytającej je szybko.

— Z tymi tutaj poradzę sobie! O, widzi pan, już kończę. Skoro pan jednak już tak uprzejmy, ale niech mi pan wybaczy!... może pozbiera pan te na korytarzu?

Opuścili przedział i niedługo potem prawie wszystkie koraliki znalazły się znowu w dłoniach nieznajpmej.

— Ogromnie panu jestem wdzięczna! Dziękuję....

— Aż tak bardzo?

— Bo pan nie wie, co to dla mnie. To maskotka...

Po chwili dodała tonem wykluczającym wszelkie powątpiewanie:

— Ona mi przecież zawsze przynosiła szczęście.

Spojrzała nań z niedowierzaniem, czyżby żartował sobie?

— Naprawdę?... Czy pan tego jest pewny?

— Najzupełniej!

— Co pan powiada?...

— Gdzieżby takiemu milutkiemu dziecku mogło stać się coś złego!

Roześmiała się żywo.

— Więc nie powinnam się bać? Bo ja już taka byłam nieszczęśliwa!

— Nieszczęśliwa?... Cóż się pani stało?

— Jakto, pan śmie jeszcze pytać? O, jaki pan jest okropny!

Zaperzyła się.

— Robi mi pan przykrości!... Ja tego nie chcę, nie lubię!

— Dziecinko! Może wrócimy do przedziału?

— Zaraz! Zaraz! Niech to skończę. Ale będzie pan dobry... dla mnie? Bo przecież muszę przyprowadzić moje koraliki do porządku!

Spojrzał na nią badawczo.

— Prawda?... Proszę potrzymać sznur... Nie! Może lepiej tę garść koralików. — Przesypała je do dłoni młodego człowieka. — O tak! doskonale! A teraz proszę zrobić mi miejsce, tu koło okna; jakież tu gorąco!

Ustąpił, a robiąc jej miejsce, stanął z konieczności plecami do drzwi swojego przedziału.

Nieznajoma, zadowolona wreszcie, zabrała się do nawlekania, ale szło to powoli, bo znowu zaczęła rozmawiać.



Z dworca w Poznaniu ruszył ekspres Warszawa — Berlin — Paryż...

Zeszła na tematy osobiste, uskarżała się na trudności, jakie w obcym kraju napotyka.

— Pani jest Francuzką, o ile się nie mylę. Pani pozwoli...

— Mieszkałam w Alzacji — odpowiedziała wymijająco, natychmiast zadając pytanie. — Czy pan zna może pana Selmont z konsulatu w Warszawie?

— Niemieckiego?... — zapytał — udając że nie wie o kogo chodzi.

— Ależ jakże! Mam na myśli konsulat francuski. Przecież to tam jest moja sprawa.

— Przyznam się, że nie bardzo rozumiem.

— Zaraz panu opowiem...

— O cóż to chodzi?

— Bo to ja... Nie! a właściwie to mój... narzeczony... — urwała, zlękniona tem, co powiedziała...

— Słucham panią!

— Ja mam narzeczonego... — podjęła z przekonaniem.

— A czy była pani w tej swojej tajemniczej sprawie w naszym konsulacie, czy może robiła pani starania... tak na własną rękę?

— Narazie na własną rękę...

— Ale dlaczego „narazie"...?

— Bo... ja mam kogoś... w ambasadzie, kogo chciałabym się poradzić... Może dopiero później...

— Kogo ma pani na myśli? — pytał, podając równocześnie jeden drobny koral.

— Ach, to jeden pan, którego znam z mych stron rodzinnych... Byłam wówczas jeszcze dzieckiem... — a po namyśle: — ...kiedy go ostatni raz widziałam...

— Była pani wówczas jeszcze dzieckiem!... — podchwycił tak żywo, że nieznajoma spojrzała nań zdumiona.

— Miałam może dziesięć lat... nie więcej!

Na twarzy młodego człowieka odmalowało się wyraźnie zainteresowanie, przypominał sobie coś...

— Może zechce mi pani powiedzieć, kto to taki?

Nieznajoma wahała się trochę.

— Może go znam, mógłbym wówczas pani pomóc!... A jakie stanowisko zajmuje?

— Jest w wydziale handlowym...

— Handlowym?... — zawołał, nie mogąc stłumić zdumienia, — niezwykle!...

Już się domyślał wszystkiego, ale zapytał jeszcze:

— Jakże się on nazywa? Proszę się nie obawiać!...

— Hrabia de La Mothe!

— Zatem ma go pani przed sobą!...

Nieznajoma zachwiała się, jakby rażona piorunem... opadły jej ręce, zbladła... Deszcz drobnych koralików posypał się z drżącej dłoni, tym razem niewątpliwie bez woli tej, której przynosiły... szczęście...

— To ty... Armandzie?... Że... ja... wcześniej... nie... poznałam... — zdołała wyjąkać.

W jej zmienionym głosie — nie było w nim już tej dziecinnej nuty — przebijała niezwykła trwoga, czy rozpacz....

— Tak... to ja!... — a kiedy do głębi wzruszony niespodziewanem spotkaniem i tym zupełnie dlań niezrozumiałym okrzykiem rozpaczy, nie znalazł więcej słów...

— Jakto?... nie poznajesz mnie?... Armandzie? — dodała z goryczą — To przecież jestem... ja... Lilka...

Zbyteczne słowa! Teraz przypomniał sobie. Już w pierwszej chwili, gdy obok niego usiadła, wydała mu się znajomą, czy do kogoś podobną... Zbierał myśli i w pamięci szukał, lecz daremnie. Ostatecznie trudno się dziwić, zwłaszcza, że w ostatnich latach po dwuletnim pobycie w Grecji przeniesiony do Warszawy, poznał moc nowych osób. Obecnie nie miał żadnych wątpliwości, była to Lili Waldburg, której nie widział od lat kilkunastu, od czasu, kiedy dom jego wuja, Karola de Medonville przestał być domem jej i jej matki...

Oczy Lilki świeciły jako dziwnie... Spotkanie towarzysza zabaw w Medonville, gdy oboje jeszcze dziećmi byli, bynajmniej nie wprowadziło ją w radość.

— Poznaję cię, poznaję! Ale daruj, skąd ty tu się w Polsce wzięłaś?...

Drgnęła na te słowa, które ze wspomnień dzieciństwa przywiodły jej myśli ku chwili obecnej

— Armandzie! Jaka szkoda... — zaczęła, kierując się machinalnie do swego przedziału lecz zatrzymała się nagle...

Oto w drzwiach przedziału ukazał się ów uprzednio śpiący pasażer, teraz starając się umknąć, jak kot cicho i zwinnie... Był bez płaszcza i kapelusza, jedynie w marynarce o kieszeniach jakgdyby dobrze wypchanych. Niewątpliwie dosłyszeć musiał urwane słowa rozmowy i zorjentował się szybko, że cała afera przybiera zgoła niepożądany obrót. To też, opuszczając przedział, rzucił na Lilkę Waldburg swe groźne spojrzenie i ukazał lufkę ukrytego w dłoni rewolweru...

Oprzytomniała.. to ją osadziło w miejscu! Armand odwrócony plecami do drzwi, a twarzą do Lilki nie widział tej sceny — zapytał zatem:

— Czego szkoda?...

— ...że cię wcześniej nie spotkałam — zmieniła odpowiedź.

Obudzony pasażer zniknął tymczasem w dalszych wagonach — w chwilę potem pociąg zaczął silnie hamować.

Armand ponowił pytanie:

— Powiedzże, co ty tu robisz?... co tobie jest... czemu się tak zmieszałaś?...

Ale miast odpowiedzi, w jej oczach zabłysły łzy, chciała coś powiedzieć, lecz dziki, szalony żal zdusił słowa. Nie mogąc opanować się, zarzuciła mu ręce na szyję i w niesłychanem podnieceniu zaczęła go gwałtownie całować, bezdźwięcznie wołając:

— Szkoda!... Szkoda!...

— Uspokój się! Lilko! Przecież to zwykłe spotkanie, jakich... wiele w życiu!

Cóż to miało znaczyć, czy to pytanie o jej obecne losy tak ją wzruszyło, czy może był to wyraz przywiązania?... Nie mógł zrozumieć.

Pociąg zatrzymał się, wówczas puściła Armanda z objęć, biegnąc szybko ku wyjściu. Tam na moment odwróciła się, wołając:

— Wybacz!... Armandzie! Wspomnij na łączność naszą!...

Zniknęła.

Dziwnym trafem, cała ta scena uszła uwagi nielicznych pasażerów dalszych przedziałów.

Armand stał oszołomiony i zupełnie zdezorjentowany. Nie rozumiał zachowania się Lilki — dlaczego tak płakała, dlaczego wybiegła?...

Poszedł ku wyjściu, drzwi były otwarte — wychylił się...

Ciszę nocy zagłuszał szum wiatru i syczenie hamulców ekspresu. Krótki, urywany gwizd lokomotywy przeszył powietrze. Stali przed jakąś stacją, czerwony blask świateł semaforów wskazywał na to, że wjazd na dworzec nie był wolny. Po torze biegali konduktorzy, wołając, by jeszcze nie wysiadano i komentując coś żywo... Armand niebardzo rozumiał, a że zimny wiatr dął do wnętrza wagonu, zatrzasnął drzwi. Jak tu się dowiedzieć, co się stało, jeżeli się nie mówi po polsku? — myślał. Gdzie Lilka? Puścił się w poszukiwanie za nią.

Wtem przez szybę spostrzegł w oddali to znikające, to nowu ukazujące się słabe światło samochodu, który oddalał się, pędząc z zawrotną szybkością...

— A to co znowu?... Chyba to niemożliwe?.. Czyżby już ktoś wysiadł? — myślał.

W pociągu zrobiło się zamieszanie — jedni pasażerowie pytali, co to za stacja, inni czy to już rewizja celna? Wrócił więc spiesznie do swego przedziału. Zapewne już jest tam Lili...

Lecz nowe zdziwienie czekało na niego. Śpiącego pana nie było! Był tylko jego płaszcz i kapelusz. Widocznie obudził się i też poszedł pytać o stację — myślał Armand. Pozatem wszystko w porządku, jak poprzednio — walizy były na swem miejscu, również i papierośnica, którą ładując, położył w chwili, gdy Lili rozsypała swe korale... A ona sama? Nie było jej!

Dobiegł go czyjś głos... Odwrócił się — to konduktor przebiegał korytarz, wołając:

— Proszę nie wysiadać! zaraz ruszamy!

Zatrzymał go pytaniem: Co się stało?... Co to za stacja?... — z trudem wymówił po polsku.

— Zbąszyń, granica! Proszę nie wysiadać, aż wjedziemy na dworzec! Ale... — spojrzał na pusty przedział — ...gdzie są ten pan i ta pani, co tu z panem jechali?...

— Nie rozumiem! Co pan mówi?

Konduktor zapewne osądził, że daremnem byłoby wdawać się w zapytania z cudzoziemcem, którego języka nie znał, oddalił się więc szybko, rzucając międzynarodowe: Pardon!

Wszystko to wydało się Armandowi zagadkowem, a może... Zaniepokoił się, jakieś przeczucie go tknęło, zaczął łączyć fakty.

— Trzeba zbadać — pomyślał,

Zdjął górną walizę. Miała ten sam ciężar, sprawdził zatrzaski, były zamknięte. Zdjął więc drugą i tu zamki dobre i ciężar jakby ten sam, tylko z boku jakaś drobna rysa... Odwrócił ją, oczy jego padły na dno walizy. Zbladł... Dno od trzech stron nacięte, odchylało się, zwisając własnym ciężarem!

Teraz zrozumiał wszystko!.. Zrozumiał powód zatrzymania się ekspresu, rolę śpiącego pana, scenę rozpaczy Lilki, jej łzy, jej zniknięcie.

(Dokończenie na str. 14-tej).



Nieznajoma usiadła, i zajęła miejsce niedaleko drzwi...



LAS NA POŁUDNIU...



...I NA PÓŁNOCY.

(Dokończenie ze str. 11-ej).

Lili Waldburg, naturalna córka Karola de Medonville oraz Małgorzaty Waldburg „pełniącej obowiązki" gospodyni na zamku Medonville, przed kilkunastu laty wraz z matką opuściła Lotaryngję i wyjechała do swej niemieckiej ojczyzny. Dlaczego, pod czyim wpływem wyjechały — długie opowiadanie... Dość, że od tego czasu słuch po nich zaginął, „na szczęście" — powiedział niejeden raz wuj Karol, dodając: „Co z tego wyrośnie?.." Dziś jużby wiedział!

Lili Waldburg wstąpiła do niemieckiej służby szpiegowskiej i oto dzisiaj wzięła udział w niezwykle śmiałej kradzieży przesyłki dyplomatycznej, licznych map, sprawozdań i korespondencji, które Armand de La Mothe wiózł do Paryża, jako kurjer specjalny, z rozkazem złożenia ich natychmiast po przyjeździe na Quai d'Orsay. Darzono go największem zaufaniem, a tymczasem...

Przed oczyma jego wyobraźni, jak taśma filmu, przesunęły się kolejno obrazy najbliższej przyszłości.. Wiedział, co go czeka i uświadomił sobie jasno, że jego karjera dyplomatyczna jest skończona! Należało myśleć o pościgu.

W obliczu tej konieczności zrozumiał prośbę ostatnich słów Lilki i cel, jaki miała, przypominając mu ich pokrewieństwo — był to gest obrony, naturalny instynkt samozachowaczy, tego kto czuje się winnym.

Mogła być spokojna! Kradzież, którą dokonać kazano na terytorjum polskiem — chociaż prawie w ostatniej chwili miała miejsce — była tak obmyślona, aby, przedłużając chwilę wykrycia, opóźnić pościg! Udało się to w zupełności, szpiedzy zniknęli już zapewne za wszystko kryjącą granicą niemiecką...

W kilkanaście minut potem komisarz policji spisywał protokół w stacyjnym komisarjacie.

I oto siłą prostej konsekwencji narzuciło się pytanie, czy wydać władzom klucz rozwiązania zagadki?... Czy naprowadzić je na ślad Lilki Waldburg? Czy ułatwić ujęcie jej i skazanie? Czas naglił, należało się natychmiast decydować!

Armand widział przed chwilą jej łzy i jej rozpacz, znał ją od dziecka, pamiętał o jej pozycji, jej przykrościach, jej zaufaniu do niego. Był jedynym przyjacielem tej małej istotki, na którą wuj Karol spoglądał z nieukrywaną niechęcią.

Cóż ją skierowało na drogę szpiegostwa?... Jakże tragiczną rolę odegrała dzisiaj ta jego mała niegdyś przyjaciółka z czasów, gdy oboje jeszcze byli dziećmi! Rozdzieliły ich losy, by w kilkanaście lat później zbliżyć jako przeciwników!

Co zeznać? Czy gubić ją? Można to uczynić jednem słowem!

Kto winien temu, że zaplątany został w sytuację, z której tak trudne wyjście?... On sam! Armand de La Mothe!

Logika przyczyn i następstw skierowała jego myśli wstecz, do chwili, kiedy jeszcze o swej podróży nie wiedział i kiedy nawet o niej zupełnie nie myślał.

Cóż było powodem zmiany? Co wpłynęło na jego chęć opuszczenia Warszawy, miasta, gdzie tyle drogich chwil przeżył?... Dlaczego prosił Emila Vadansart, swego przyjaciela, by wskazał go ambasadorowi, jako pewnego człowieka, gdyby zachodziła potrzeba wysłania z jakąś specjalną, oraz dłuższą misją urzędnika ambasady?

W wyobraźni Armanda ukazała się wizja kobiecej postaci...

Poznał jej regularny owal twarzy, jej rysy drobne, jej wspaniale falujące, jasne złote włosy. Na jej lewem ramieniu widniała duża blizna, to pamiątka z lat wojny, po odłamku od kuli armatniej! Jej ciemno-brunatne oczy nabrały blasku, wpatrywała się w niego, a w jej wyrazie twarzy malował się triumf, jak gdyby miała pewność tego, że wcześniej czy później będzie przez niego kochaną!...

Miał wrażenie, że słyszy jej słowa, wypowiadane — jak niegdyś — powoli, stanowczo:

— Pan... o... mnie... nieprędko... zapomni!

I tak się stało! Ona owładnęła całym bytem jego, wywierając odtąd decydujący wpływ na bieg jego życia!

Poznał tę postać, to była....

— Panie de La Mothe! Teraz pan będzie zeznawał, proszę tutaj! — przywrócił Armanda do rzeczywistości komisarz policji.

Z SANDRINGHAM DO WINDSORU

Napisał ANDRÉ MAUROIS.



Galowa kareta królewska wiezie podczas uroczystości pogrzebowych królowę wdowę Mary, królowę norweską Maud, księżnę Mary-hrabinę Harewood i księżnę Yorku.



Poniżej: Królowie i reprezentanci państw w kondukcie pogrzebowym. W drugim rzędzie pochodu król Karol rumuński, król norweski Haakon, prezydent Lebrun, w trzecim król Leopold III i król Borys bułgarski, w czwartym następca tronu włoskiego Humbert (na lewo).

Dwudziestego pierwszego stycznia, godzina 9.30... „Trzeba złapać Londyn! Na krótkich falach... Trzysta czterdzieści osiem, czy coś koło tego!" Daje się słyszeć odgłos słynnego dzwonu Big Ben, który wydzwania wpół do dziesiątej, a następnie rozlega się głos premjera Baldwina. Głos jego często się załamuje słowa wychodzą urwane. „Mniej niż miesiąc temu głos, który obecnie umilkł, słyszany był w całym świecie. W dniu Bożego Narodzenia król mówił do wszystkich ludów imperium. Jak prawdziwy ojciec otoczony swą rodziną mówił rzeczy mądre, proste i wypełnione uczuciem ludzkości. I dzisiaj też opłakujemy go jako członkowie tej wielkiej rodziny.

Wielka rodzina! Od dwudziestu pięciu lat w każdym domu angielskim, a zwłaszcza wśród rodzin biednych, widniał na ścianie portret króla i królowej, a później przybywały wizerunki ks. Walji, ks. Yorku i małej księżniczki Elżbiety. Od dwudziestu pięciu lat Anglicy przyzwyczaili się widzieć w centrum wszystkich wielkich spraw narodowych, w chwili wypowiedzenia wojny i zawieszenia broni, postać króla o spokojnej i mądrej twarzy, okolonej siwiejącą brodą.

— Chcę mówić też o królowej Mary, — kontynuował premjer Baldwin swoje przemówienie, — gdyż wiem, że w dzisiejszy wieczór każde serce angielskie krwawi, myśląc o niej. Drżę na myśl, coby się stało, gdyby król był wpierw stracił swoją towwrzyszkę życia, gdyż weim, że na szczytach życia ludzie są samotni i że król może jedynie przed swą małżonką dzielić się swemi myślami.

Słuchałem... Jaki prosty, ale bezpośredni ton panował w tych słowach, które trafiały prosto do serca. O zdarzeniach politycznych panowania Jerzego V powiedział tylko kilka słów. To nie premjer mówiący do swych wyborców, lecz człowiek mówiący do swych współbraci. Jakaż rola była tej rodziny królewskiej? Przedewszystkiem ta, że stanowiła ona wspólną własność wszystkich. Przypominam sobie te święta wojennego Bożego Narodzenia, podczas których każdy żołnierz angielski otrzymał od pary królewskiej pocztówkę z życzeniami i podpisem. Pewien Szkot wysokiego wzrostu mówił mi w r. 1915: „Jestem sam na świecie i niczego nie spodziewałem się na Boże Narodzenie! A teraz otrzymuję kartkę z życzeniami od króla.

— Był nieraz zmęczony i łaknął wypoczynku, — mówił dalej mr. Beldwin, — ale ciężar obowiązków, spoczywających na barkach króla, towarzyszy mu do grobu. Przypomina mi się obraz, widziany podczas Garden-Party w zamku Buckingham, podczas którego król przyjmował reprezentantów parlamentu, dominjów, kolonij, maharadżów, przemysłowców z Kanady, dostojników angielskich, Chińczyków, Malajów i wielu inn.

W ogrodzie zamku ustawiony był duży namiot, przed którym król w szarym żakiecie i takimże cylindrze przyjmował swych poddanych.

— Ostatni raz widziałem go, — snuł w dalszym ciągu wspomnienia swe premjer, — gdy wyjeżdżaliśmy na wakacje świąteczne. Ja udałem się na wieś, a król również. Obaj cieszyliśmy się, że będziemy mogli spędzić te chwile w naszym własnym wiejskim domu, otoczeni naszemi dziećmi i wnukami.

Jakże charakterystyczne jest to zdanie dla Anglika! Od wieków naród ten przyzwyczaił się do rządów gentlemanów-ziemian. Kto czytał opis transportu zwłok króla w Sandringham, przypomni sobie, że przeniesiono je do małego kościółka wiejskiego, a trumnę niosło czterech leśniczych... Odezwały się odgłosy rogu... Kilka pochodni zajaśniało w ciemnościach, a wszystko przypominało skromny pogrzeb jakiegoś właściciela drobnej posiadłości, lub squire'a.

W XVIII wieku Anglją rządziła oligarchja i kilka setek rodzin tworzyło arystokratyczny parlament. W XIX wieku do rządów dopuszczono bogatą burżuazję, robotników miejskich, a wkońcu i kobiety. Najbardziej arystokratyczny ustrój zmienił się w najbardziej demokratyczny. Jakże to mogło się stać? Dokonano tego bez krwawych rewolucyj dzięki mądrości kilku panujących. Gdyby królowa Wiktorja, Edward VII i Jerzy V połączyli swe interesy z interesami szlachty, byliby zgubieni, a monarchja zmieciona z powierzchni ziemi. Lecz użyli oni całego swego wpływu, by przekonać arystokrację angielską, że narodziły się nowe siły w narodzie i należało z niemi podzielić cężary i przywileje rządzenia.

Sprawowanie rządów jest takim samym zawodem, jak każdy inny. Przyszedłszy do steru łatwo zrozumieć, że sytuacja wymaga pewnych specjalnych zalet, a jeżeli zrozumienie to przychodzi zapóźno, następuje katastrofa. Gdy członkowie partji pracy stanęli w Anglji u steru rządów, Jerzy V był jedynym człowiekiem wśród sfer rządzących, który posiadał wielkie doświadczenie w technice rządzenia. Oddał też nowym panom podwójną usługę: Zapewnił im ciągłość rządów i uspokoił opozycję. Im bardziej głębokie bowiem zachodzą zmiany, tem chętniej szary człowiek doszukuje się wśród nich znanej oddawna twarzy.

Rola króla jest niebywale trudną. Kto w takiej sytuacji nie będzie posiadał dosyć rozsądku życiowego i zdolności, popadnie pod rozliczne zarzuty. Dom królewski Windsor umiał spełniać swe zadanie w taki sposób, że zawsze czynił tylko to, co było dobre dla narodu.

— Był zarazem król Jerzy V ojcem i sługą swego narodu, — brzmiały słowa premjera.

Według wiadomości otrzymanej z Arktycznego Koła, Eskimosi, dowiedziawszy się o chorobie króla, którego nazywali „białym dziadkiem", zgromadzili się w okolicy stacyj radjowych, aby dowiedzieć się najświeższych wiadomości. W zapadłych wsiach, otoczonych zamarzniętemi polami, lojalni poddani J. K. Mości proklamują nowego króla. Podobny obraz widzimy na południu Afryki.

Dawny nieprzyjaciel Anglji gen. Smuts, oświadcza, że zgon króla jest niepowetowaną stratą dla całego świata. Wpływy Jerzego V przyczyniały się bowiem do utrzymania ogólnego pokoju. Na Nowej Zelandji olbrzymi dzwon, zwany Reo Wairua, czyli „głos ducha", rozbrzmiewa zdala. Podobnie, jak w Australji, wszystkie składy są zamknięte. Od czasu wojny nigdy łączność tych kolonij i dominjów z Anglją nie wystąpiła tak dobitnie, jak właśnie teraz.

Londyn... Gigantyczne, poważne budowle w stylu gotyckim giną we mgle. Heroldowie królewscy udają się w karetach do tych czterech miejsc, na których mają obwołać rządy Edwarda VIII. Przybywają do wrót City przed symboliczny czerwony sznur. W kraju, który rządzi się opinją publiczną, zwyczaj wymaga, aby nowy król został „zaakceptowany" przez obywateli Londynu. Dają się słyszeć fanfary i na chwilę ludność zapomina o smutku, aby oddać się radości przy oglądaniu tak efektownego obrazu.

— Zmarły pozostawia swemu synowi tron, który sam otrzymał po swoim dostojnym ojcu. Pozostawia mu też wzmocnione podstawy państwa, swój autorytet moralny, swój honor i godność pomnożone. Jest to dziedzictwo, z którem niczego nie można porównać.

Słowa premjera Baldwina są tylko echem tego, co myśli i czuje każdy Anglik. Tembardziej są też ciekawe!



Kondukt pogrzebowy ze zwłokami Jerzego V na ulicach Londynu.



Zamek Windsorski, w którym spoczęły zwłoki zmarłego króla. Na zdjęciu widać trumnę królewską, w otoczeniu marynarzy.



Przyboczna gwardja królewska przed pałacem St. James.



Na lewo: Król Edward VIII (w środku) ze swym bratem ks. Yorku (na prawo) i ks. Gloucester w pochodzie żałobnym.



— 26 —

a wyjeżdżając z kraju czuł tylko gorycz. Cóż mu bowiem przyszło z chwilowego uznania, z tych paru płyt z jego piosenkami nagranych, które uwoził z sobą jak najdroższe pamiątki? Powodzenia, pieniędzy, sławy nie zdobył, gnębiony tragedjami prywatnemi, które go złamały...

Gdy zanurzył się w wir wielkiego miasta, w obcą atmosferę Ameryki, nabrał sił nanowo. Zdawało mu się, że zwycięży. To, czego nie zdobył w Polsce, zdobędzie tutaj. Sława... powodzenie... pieniądze...

Wmieszał się w wir wielkiego miasta. Wszedł do towarzystwa młodych kompozytorów, aktorów. Miał jeszcze pieniądze, był przystojny, elegancki. Poznał piękne kobiety, poznał upojenie miłosne, wielkie zabawy, błyszczące kawiarnie, wspaniałe sale operowe.

Ale pieniądze rozpływały się szybko, a nowych nie było. To, co pisał, ginęło w natłoku produkcji muzycznej nowego świata. Poco tu przeboje oryginalne, skoro fabrykuje się je tutaj serjowo?

Powoli musiał ograniczać się coraz więcej. Przestał bywać w towarzystwie artystycznem, przestał bywać w wielkich, szumiących życiem salach. Zaczął unikać kobiet, zabaw, tańca. Przeprowadził się. Coraz skromniej, coraz smutniej płynęło życie.

Nawet nie wiedział, kiedy zaczął się stawać. Kiedy zaczął wyżebrywać drobne sumy za nowe utwory, z łaski przyjmowane przez pokątnych wydawców. Nie wystar-

— 27 —

czało mu to na życie. Znalazł się w obliczu przepaści.

I oto pewnego dnia wielkie miasto ujrzało go wędrującego z patefonem po podworcach. Na patefonie grał swe dawne przeboje, swoje płyty. Skąpo spadały datki centowe z niechętnych okien.

Coraz niżej... coraz smutniej... coraz beznadziej...

A więc, by żyć, trzeba się jąć jakiejkolwiek pracy. Trzeba nawet pracownć fizycznie, choć lata, które przeszły, przygarbiły, — niepowodzenia, które spadały i spadają wciąż, przyprószyły włosy. Trzeba się było jąć i kilofa, skoro przypadek zrządził, że płacono za chętne ręce, płacono tyle, że dało się przeżyć jeszcze jeden, może jeszcze dwa ciężkie dni...

Ale raz, na dnie, u głębi rozpaczy i zniechęcenia, dorwał się jeszcze fortepjanu. Przypadkowo, przy jakiejś przeprowadzce, gdzie się zaangażował. Został sam na sam w pustem mieszkaniu z ukochanym instrumentem, by przypilnować, nim nia powróci platforma. I siadł... i grał...

Grał nie przebój, którymby chciał zyskać sławę i pieniądze — grał symfonję wielkiego miasta, symfonję swej nędzy i rozpaczy...

Przypadkowo przechodzący manager muzyczny przystanął pod oknem. Płynęły potężne, wspaniałe dźwięki. Wszedł...

W kilka miesięcy później „Symfonja Wielkiego Miasta" była przebojem koncertowym. Drogą rozpaczy i tragedji, opuszczenia i nędzy, zdobył wreszcie to, czego



Oto jak „wychodzi" na ekranie twarz speakerki berlińskiej stacji telewizyjnej p. Patschke.

Szukamy telewizyjnych twarzy!...

Chwila wprowadzenia radja w cywilizowanym świecie jest równie poważną w skutkach i równie przełomową, jak odkrycie elektryczności lub praktyczne zastosowanie pary wodnej. Oczywiście, że będąc współczesnymi radja, nie możemy jego roli określić tak jasno i tak bezstronnie, jak czynimy to z innemi wynalazkami, mającemi obecnie już kilkadziesiąt lat za sobą. Zgodnie z powiedzeniem pewnego wynalazcy „świat się skurczył", gdyż najbardziej odległe jego krańce porozumiewać się mogą zapomocą radja. Postradał on również niemal wszystkie tajemnice, poprzednio budzące grozę u ludzi, gdyż radjo stanowi również wspaniały środek informacyjny i odkrywczy.

O ileż większych przewrotów należy się spodziewać po telewizji, która obecnie, powoli wprawdzie, ale wkracza na drogę realizacji praktycznej! Niektórzy twierdzą, że telewizja stanowić będzie olbrzymią konkurencję dla kinematografji, a nawet ją zwycięży, inni znów uważają ten wynalazek za wysoce szkodliwy, a entuzjaści za ukoronowanie wynalazków XX wieku.

Jak wiadomo, radjo angielskie — B. B. C. uruchomi w dniu 1 kwietnia pierwszą placówkę telewizyjną, przyczem należy przypuszczać, że oryginalny i nadwyraz dziwny humor angielski kazał B. B. C. wybrać właśnie ten „prima Aprilis", jako datę rozpoczęcia działalności telewizyjnej. Oto radjo angielskie szuka ośmiu speakerek i... nie może ich znaleźć! Pensje speakerek są oczywiście odpowiednio wysokie, lecz radjo stawia specjalne wymagania wobec kandydatek. Przedewszystkiem muszą one być przystojne, ale uroda ta nie może być zbyt indywidualną, lecz powinna odpowiadać ogólnie przyjętemu ideałowi piękna. Ważnem jest też, aby rysy speakerki tworzyły miłe kontrasty, gdyż tylko taka uroda dobrze jest widziana w telewizji. Włosy jej posiadać muszą kolor miedzi, gdyż tylko on czyni odpowiednie wrażenie, gdy z odległości tysięcy mil obserwuje się zapowiadającą audycję urzędniczkę.

Telewizja wymaga zupełnie nowego i odrębnego maquillage'u, ponieważ normalne kolory byłyby zupełnie niewidoczne dla patrzącego się. Speakerka telewizyjna będzie mieć oczy podmalowane kolorem zielonym, brwi i rzęsy ciemno-czarne, chrapki natomiast powleczone żółtym kolorem, a cała twarz upudrowana będzie również na żółto. Można sobie wyobrazić, jakby się dziwił ten, który może zakochał się w speakerce na odległość, gdyby ją zobaczył zbliska! Pozatem wymagania radja angielskiego dotyczą jeszcze innych dziedzin, a mianowicie twarz kandydatki powinna posiadać postać owalną, a nie okrągłą, a mianowicie dlatego, aby mogła być widzianą w aparacie odbiorczym, posiadającym podłużną postać, podczas gdy naprzykład aparaty niemieckie posiadają wykrój czworokątny. Poza biegłem opanowaniem języka angielskiego, speakerka powinna również znać język niemiecki i francuski, a wkońcu przyjmuje się jedynie kandydatki zamężne! Dlaczego? Bardzo proste! W wieku, w którym tyle rzeczy załatwia się na odległość, w którym telefon zastępuje prywatną rozmowę, depesza staje nieraz na miejscu „billet doux", a radjo zastępuje gazetę, również i miłość dostosowuje się do zmienionych form bytu i... działa na odległość! Zwłaszcza Anglicy i Amerykanie, pomimo swej pozornej flegmy i spleenu, są bardzo pochopni do zawierania małżeństw w sposób nader oryginalny. Nic też dziwnego, że B. B. C. obawia się, aby speakerka, będąca niezamężną osobą, nie została ze studjum radjowego porwana przez jakiegoś oczywiście „cichego", ale niemniej przedsiębiorczego adoratora, pozostawiając po sobie wspomnienie... i puste miejsce. Małżeństwo jest bądź co bądź pewnego rodzaju gwarancją uczuć i stanowi podobno, przynajmniej w Anglji, środek przeciwko płochości.

Myśląc o telewizji, nasuwa się niejako automatycznie cały łańcuch myśli, odnoszących się do rzeczy, które lat temu kilkadziesiąt określonoby mianem nadprzyrodzonych. Właściwie prawie wszystkie bajki, które znamy z naszego dzieciństwa, powoli zamieniają się w rzeczywistość: latający dywan, zamienianie w złoto różnych przedmiotów i tyle innych znajduje w naszych czasach swój odpowiednik faktyczny. Do czegóż to wkońcu dojdzie? Czego będą słuchać dzieci w roku



Aparat telewizyjny rozkłada obraz postaci „nadawanej" na poszczególne punkty.



Poniżej: Glena Traeger, studentka uniwersytetu amerykańskiego, występuje często w telewizji.





Od lewej: Wśród stu kandydatek, które zgłosiły się w U. S. A. do zawodu telewizyjnego, Natalja Towers zdołała odnieść zwycięstwo dzięki twarzy pełnej kontrastów. — Grupa gości na wystawie radjowej w Berlinie, na lewo dr Goerz, kierownik telewizji w Rzeszy.



2100 i co jeszcze będzie mogło je zadziwić? Należy przypuszczać, że wszystkie niańki, guwernantki i wszelkiego rodzaju wychowawczynie wypowiedzą swoim państwu posadę, gdyż nie będą wstanie skupić zainteresowania swych wychowanków, nie mogąc im opowiedzieć zgoła żadnej bajki. A może powstaną wtedy nowe bajki, które będą przedstawiać nam świat, jakim on będzie za lat tysiąc? Lub poprostu bajką stanie się opowiedzenie życia ludzkości z przed dwóch tysięcy lat, kiedy to jeszcze nie było ani samolotów, ani telewizji, ani nawet telefonów? Ostatecznie jedynie stan faktyczny w danej chwili decyduje o tem, czy to lub owo opowiadanie można nazwać bajką, czy też poprostu opowiadaniem historycznem. — Tak czy owak przyznać musimy, że telewizja zbliża nas do najbardziej nieprawdopodobnych możliwości, które dotychczas spotykaliśmy jedynie w opowiadaniu o Panu Twardowskim, lub innych czarodziejach. I tak powoli wyczerpujemy repertuar cudów, ściągając je z fantastycznych krain na naszą ziemię.

J. G. M.

Na lewo: Oto wymarzona twarz dla telewizji o owalnej formie, rudych włosach i pięknym nosie. Poniżej: Rysunek, przedstawiający te wszystkie zalety twarzy, jakich wymaga się od speakerki telewizyjnej, przyczem usta szminkuje się na bronzowo, rzęsy i brwi na czarno, powieki na zielono, policzki na jasno-żółto.



CO ROBI ›KRÓLOWA ZIMY‹ W LECIE?

Jedną z największych i najsensacyjniejszych atrakcyj stanowi pojawienie się światowej mistrzyni sportu łyżwiarskiego Sonji Henie, sławnej córy Norwegji na torze łyżwiarskim międzynarodowej olimpjady w Garmisch Partenkirchen. Sonja Henie pokusi się tym razem poraz dziesiąty o tytuł mistrzyni świata. Jeżeli uda się jej odnieść zwycięstwo, wykaże istotnie wysoką klasę swego mistrzostwa, rywalizując z pierwszorzędnemi gwiazdami sztuki łyżwiarskiej. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się w dziejach sportu, aby jedna i tasama osoba dzierżyła przez tyle lat championat międzynarodowy. Sonja Henie jest prawdziwym fenomenem, to też prasa całego świata ubiega się o wywiady z nią. W poniżej zamieszczonym wywiadzie z lata ub. r. wyjaśnia królowa lodu, czem zajmuje się w miesiącach letnich.



Willa „Grauholtet" w okolicy Oslo, letnia rezydencja rodziny Henie.



Sonia Henie z zapałem grywa w lecie w tenisa.

Lekki wietrzyk porusza morzem róż w parku „Landorja". Z zielonej gęstwiny na wysokiej górze dochodzą tony ptaszęcych śpiewów. Na tle tej pięknej przyrody, między fjordami, w oddaleniu 20 km od Oslo, wynurza się z sielankowego parku śnieżnobiała willa „Granholtet", letnia rezydencja rodziny Henie.

Siedzimy na werandzie. Naprzeciw mnie odpoczywa urocza blondynka. Włosy jej przepasane są szeroką jedwabną wstążką, stosownie do zwyczajów panujących w kraju, a jasny błękit jedwabiu podkreśla zdrowy koloryt opalowej, brunatnej cery. Smukłą jej postać opinają długie, szerokie spodnie à la Marlena Dietrich, do których Sonja Henie nosi bluzeczkę z krótkiemi rękawami Ta mieszanina strojów nadaje jej równocześnie cechy skromnie wychowanej panienki i nowoczesnej młodej damy.

— Już tyle pisano o mnie w prasie i tyle razy byłam fotografowana na lodzie we wszystkich ogólnie znanych pozach, że wątpię, czy będą mogła powiedzieć panu o sobie coś nowego — broni się Sonja Henie przed wywiadem.

Przyznaję jej rację skinieniem głowy.

— Wiem o tem, proszę pani, a jednak przybyłem tutaj, aby dowiedzieć się czegoś zupełnie nowego, co niewątpliwie zainteresuje wszystkich czytelników. Zadam pani tylko jedno pytanie: Jak przygotowuje się w lecie światowa mistrzyni sztuki łyżwiarskiej do zawodów w zimie?

— Ha, przyznaję, że pytanie jest krótkie, ale trudno odpowiedzieć na nie równie zwięźle! — śmieje się Sonja Henie.

— A zatem pozwolę sobie rozdrobnić mo-



Mistrzyni łyżwiarstwa jest zapaloną czytelniczką ciekawych książek.



W sportowem aucie Sonia odbywa nieraz dalekie podróże.

je pytanie na kilka bardziej szczegółowych i będę je zadawał pokolei. Jaki sport uprawia pani w lecie, aby utrzymać się w formie na czas zawodów zimowych i przygotować się tak dzielnie do walki o mistrzostwo świata?

— Gram dużo w tenisa na naszym korcie w parku, przeważnie z moim bratem. A ponadto pływam dużo pod tym oto fjordem — Sonja Henie wskazuje ręką uroczy, szmaragdowy basen ,ukryty między lśniącemi w słońcu skałami. — Co pewien czas urządzam także wycieczki konne.

— Widziałem pani zdjęcie, dokonane w chwili, gdy startuje pani jako szybkobiegaczka. Czy uprawia pani także lekką atletykę?

— Owszem, o ile mi tylko czas na to pozwala, biegam do 100 m. Prócz tego uprawiam gimnastykę nie w zwyczajnem tego słowa znaczeniu, lecz często jeżdżę samochodem do Oslo do szkoły baletowej. Trenuję tam rytmikę w takt muzyki Tedda Lewisa, który komponuje dla mnie specjalne numery do tańca na lodzie.

— A więc jeździ pani do szkoły baletowej samochodem, którym pani zapewne sama kieruje? Uprawia pani zatem dwa sporty równocześnie!

— Trudno nazwać przejażdżki samochodowe do Oslo sportem. Jeżeli to pana jednak interesuje, to zakomunikuję panu, że uzyskałam drugą nagrodę w jeździe samochodowej pań w r. 1933 w Sztokholmie podczas 3-dniowego raidu przez Szwecję południową.

Obok żywopłotu, okalającego park, stoi tuż pod werandą wspaniały jasnobłękitny wóz 6-cylindrowy marki „Ford front dirvet", upominek Amerykanów norweskich, który Sonja Henie otrzymała w r. 1930, odbywając przez 2 miesiące tournée po Stanach i entuzjazmując swą pełną gracji sztuką setki tysięcy widzów. Z okazji dobroczynnego bazaru na biedne dzieci w Oslo, w którym Sonja brała udział, jeździła po ulicach Oslo swoim wozem, tonącym w powodzi kwiatów. Mieszkańcy Oslo bombardowali samochód swej ulubienicy i chluby narodu kwiatami i datkami, a gdy już puszki były wypełnione po brzegi, wrzucali złote i srebrne monety wprost do wozu. Z dumą stwierdziła Sonja Henie, że wynik zbiórki przeszedł najśmielsze oczekiwania i że była niezaprzeczoną bohaterką dnia.

— Teraz dopiero zrozumiałem — wtrąciłem z uśmiechem — dlaczego tak trudno mi było uzyskać od pani bodaj pół godzinny wywiad tutaj w domu. Czy przy tak intensywnym treningu pozostaje pani jeszcze czas na życie prywatne?

— Trzeba panu wiedzieć, że sezon łyżwiarski rozpoczyna się już 1 września w naszym zimnym klimacie i trwa do połowy kwietnia. Pozostałych 5 miesięcy mija szybko, to też korzystam z czasu wolnego od ślizgawki, aby uprawiać inne sport W sezonie nie mam na to czasu, bo muszę codziennie pracować niezmordowanie 3 do 4 godzin.

— W jaki sposób doszła pani do mistrzostwa i sławy?

— Nasza długa norweska zima dostarcza dosyć sposobności do uprawiania łyżwiarskiego sportu, w którym zaczęłam się ćwiczyć z zainteresowaniem od 6 roku życia. Mając lat 14, zostałam poraz pierwszy mistrzynią świata. Było to w r. 1927. Tego roku w Gamisch będę się ubiegała poraz dziesiąty o championat.

— Licząc zaledwie 23 lata, dzierży pani berło na torze łyżwiarskim od 9 lat bez przerwy! Jest to wyczyn, w którym pani nie prędko ktoś dorówna.

Sonja uśmiecha się skromnie, lecz widocznie jest uradowana.

— Czy ma pani poza łyżwami jakieś namiętności?

— Mam dwa przepiękne angielskie setery. Przepadam za temi pieskami! Moji wielbiciele wiedzą o tem i obdarowują mnie podczas podróży prześlicznemi pieskami z wełny lub włóczki. Posiadam już imponujący zbiór sztucznych seterów. Pozatem nie mam żadnych namiętności. Nie palę, nie piję alkoholu, odżywiam się przeważnie owocami i jestem bardzo umiarkowana w jedzeniu.

Ostatnich słów wysłuchała matka Sonji, p. Henie, która zjawiła się właśnie na werandzie i uzupełniła informacje z dumą:

— Sonja nie chce się przyznać, że gotuje bardzo chętnie i zna tę sztukę doskonale. Ma wogóle zamiłowanie do gospodarstwa domowego.

— Czy mogę zadać niedyskretne pytanie? Mianowicie chodzi mi o to, czy czy panna Sonja jest zaręczona jak to twierdzi prasa od dłuższego czasu? Czy może należy spodziewać się jej zaręczyn?

Sonja zerwała kwiat, zaglądający przez okno werandy. W zamyśleniu spogląda na wysokie sosny i mówi, ociągając się:

— Nie. Przynajmniej nie w najbliższej przyszłości.

Żegnam królowę lodu, dodając najserdeczniejsze życzenia zwycięstwa na olimpjadzie w Garmisch. Myślę o tem, co powiedział mi b. światowy mistrz sztuki łyżwiarskiej, serdeczny przyjaciel Sonji Henie, Charles Hoff, że mistrzyni świata nie rozłącza się podczas jazdy na lodzie z łapką zajęczą, którą uważa za swój talizman. Lecz Hof znany jest z tego, że lubi żartować. Czy można mu wierzyć?

K. B. Larsen.



Ulubione psy darzą Sonię niemniejszą sympatją jak jej adoratorzy na lodzie.

RUSAŁKA NA LODOWEJ TAFLI... Jedna z efektownych ewolucji Sonji Henie, mistrzyni świata w jeździe figurowej na lodzie. ⟶



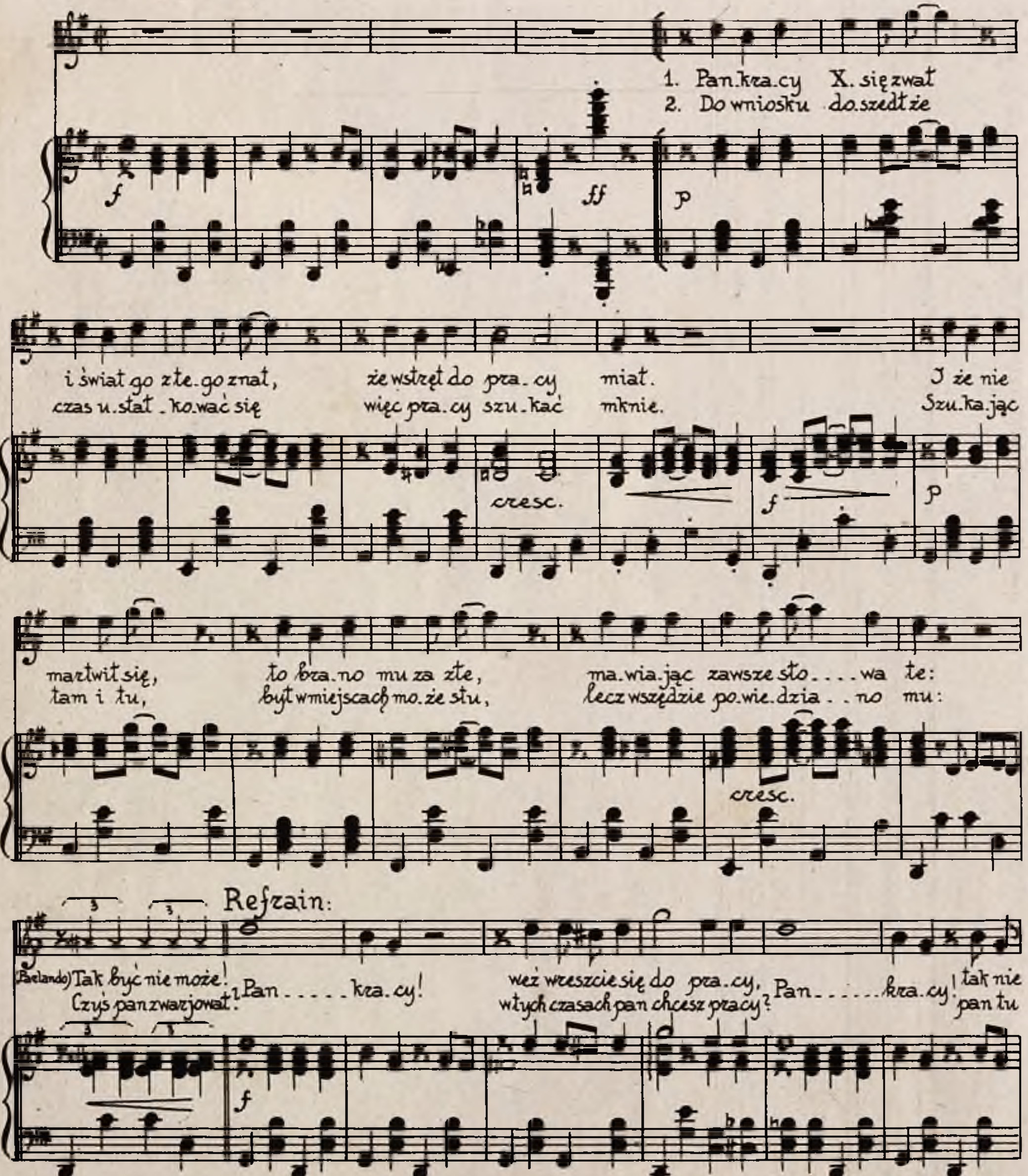


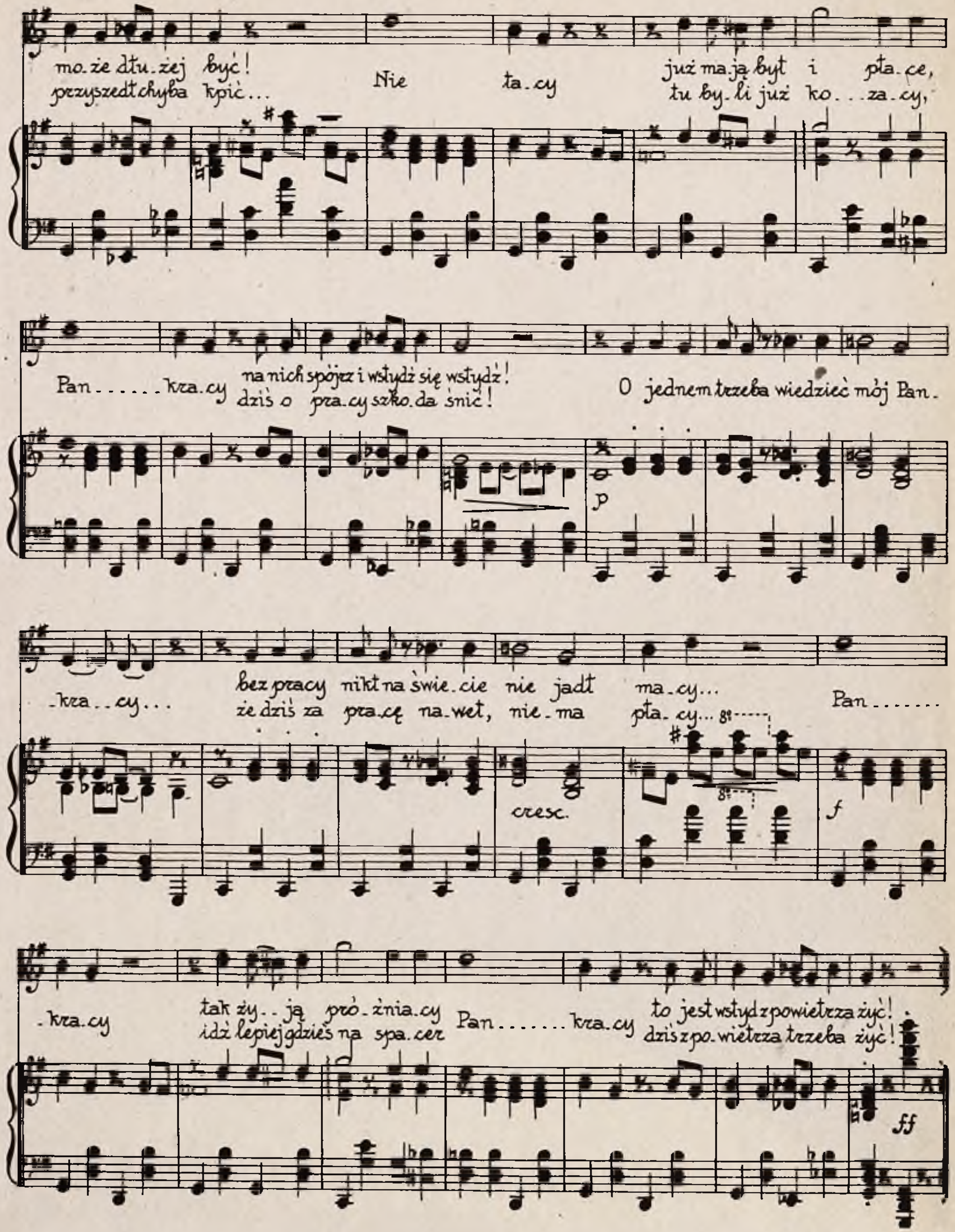
Przebój „Wesołej Lwowskiej Fali"

PANKRACY

Foxtrot-piosenka.

Słowa i muzyka:
Zbigniewa Lipczyńskiego
arr. A. Schütz.





Dzieci szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

25-ty ODCINEK.

— Ale czas zburzy równowagę między tem, co dajecie im z siebie, a tem, co bierzecie z nich. Przyjdzie chwila, kiedy uczujecie potrzebę brać więcej niż będziecie w możności dać... Wtedy staniecie się ich niewolnikami — sługami własnego szału. I wy, którzy najwyższą pogardą piętnujecie ten szary ludzki tłum, za to jego niewolnicze poddanie się, te rutynę życia codziennego, wpadniecie w rutynę i w niewolę, jeszcze nędzniejsze, w służalstwo waszego nałogu. Łaskę zapomnienia, ucieczki przed własnem obliczem, znajdziecie już wtedy tylko w alkoholu i narkotykach.

— Ale skądże pan może wiedzieć o tem wszystkiem — i mówić z taką znajomością rzeczy? — spytał, nie podnosząc głowy Le Droz.

W słowach, które słyszał, przesuwały się przed nim doświadczenia ostatniej nocy — niemożność zagłuszenia w rozpuście, rozdźwięku duszy...

A Plessoye począł szukać czegoś na półce, wśród książek, na wysokości swej głowy. Znalazł cienką broszurę i podał ją Le Drozowi. Tytuł jej brzmiał: „Pieśni Bezwstydne“, a nazwisko autora: „L'Oye de Plesse“.

— To mój pseudonim, z czasów, kiedy śpiewałem u Bruanta i w „Czarnym Kocie“ — rzekł były minister.

Przez dobrą chwilę trwał w zamyśleniu, nim podjął znowu:

— Nauczyłem się tam wiele. Lecz groziło mi, że dziś byłbym starym śpiewakiem kabaretowym; chodziłbym po Paryżu w czarnym, o szerokich skrzydłach kapeluszu i w fantastycznie związanej lawaljerze... Znam takich ludzi i wiem, że czują się nawet szczęśliwi. Ale ja byłem stworzony od czegoś innego — może niekoniecznie lepszego, ale do czegoś, co bardziej odpowiadało mojej naturze. A jedyny błąd, który prędzej czy później mści się bez litości, to kiedy się pójdzie przeciwną sobie drogą... I nie to jest najważniejsze, by trafić odrazu na tę swoją drogę — lecz by umieć skręcić na nią w porę... Tego właśnie nauczyły mnie kabarety starego Montmartru. — A poza tem jest jeszcze coś innego: nam trzeba pieniędzy!

Le Droz drgnął. Skojarzenie, tkwiące w tem „nam“ uderzyło go znowu niemiło... Plessoye nie odgadł tym razem, co było powodem odruchu młodego człowieka i ciągnął dalej:

— Owszem, wolno traktować pieniądz z pogardą. Ale wtedy trzeba umieć wyrzec się na codzień luksusowych restauracyj i lokali, w których nie podają innych napoi, prócz szampana.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA

Ale wy powiadacie, że brzydzicie się pieniądzem, a czujecie się dobrze tylko tam, gdzie trzeba go mieć najwięcej. Tak samo zresztą jest z tym waszym głodem przygód. Cóż panu przeszkadza być misjonarzem — wstąpić do Legji Cudzoziemskiej — zgodzić się na palacza okrętowego — przystać do anarchistycznych bojowców — lub stać się królem włamywaczy? Czemu nie szmugluje pan opjum, kokainy — nie wejdzie w służbę szpiegowską? Jako amator, by zdobyć materjał do ciekawego reportażu, wiem, że cudów dokazywałby pan w tych dziedzinach. Ale uprawiać jeden z tych fachów, jako zawód — to panu nie postało w głowie! Panu trzeba przygód, ale chce pan wyjść z nich zawsze w białych rękawiczkach — tak samo, jak uśmiecha się panu szeroka zabawa, ale niech płaci za nią ktoś inny!

Plessoye przysunął się teraz tak blisko do młodego człowieka, że prawie dotykał go sobą.

— Jedyny może z pośród was, któremu nic nie grozi, to Vivant. Ten jest cudownie przystosowany! — Potrafi śmiać się zawsze i wszędzie — i zawsze zachowa duszę czystą. On ma prawdziwą „łaskę stanu“! — Ale pan? — Kiedy pan dojdzie do tego, że każdego spotkanego znajomego taksować pan zacznie wedle wysokości pożyczki, na którą da się naciągnąć — czy będzie się to panu wydawało czemś piękniejszem, niż obliczanie z ołówkiem w ręku środków, jakimi pan może rozporządzać? Czy jest pan naprzykład zdolnym do tych akrobatycznych sztuczek, na polu finansów — specjalnego gatunku — do których prowadzi bezlitośnie dumna pogarda ciężko zarobionego grosza? — I nawet to, co jest najwspanialszem w was, ta przyjaźń, która skuła was czworo takim cudownym węzłem — i ta nie ostoi się nawet, kiedy przyjdzie wam chwytać się ostateczności, żyć z kombinatorstwa, dławiąc się w sieci niskich kłopotów i brudnych interesów. A jedynem wyjściem — jedynem zakończeniem, w harmonji z takiem życiem — to kulka w łeb. Tak, jak smuga smrodliwego dymu, jest wszystkiem, co zostawia po sobie najwspanialszy fajerwerk... Kto chce żyć — ten musi wziąć na siebie ciężar życia! — I jeszcze pan! Fizycznie ma pan niespożyty organizm, ma pan talent i fach, który może panu otworzyć wszystkie drogi — i pozwolić uciec z nich. Ale proszę pomyśleć o tamtych — o Jasarte — o pani Elven...

Tu Plessoye pochylił się nad młodym człowiekiem, drżący i rozgorączkowany — niemal groźny — tak, jak gdyby walczył o najistotniejszą cząstkę swego jestestwa w tym sporze — on, który na wstępie zaznaczył, że miała to być przyjacielska wymiana zdań — bezinteresowna i oderwana...

Ale Le Droz, zaskoczony tym nagłym, niezrozumiałym dlań zwrotem, który dotychczasowego przyjaciela zmieniał nagle w przeciwnika, uczuł, że wraca mu siła, wiara i zdolność do podjęcia tego wyzwania.

— I na cóż wy liczycie, nieszczęśni? — krzyczał już teraz Plessoye.

— Na szczęście! — odrzekł Le Droz twardo i wybuchnął śmiechem, który zabrzmiał niemal jak obelga.

W ciągu sekundy Plessoye zrobił daleką drogę: od wściekłości — przez zdumienie — doszedł do szczerego podziwu.

— Pan — wyrzekł — pan jest... straconą pozycją! — Ale co jest wprost nie o pojęcia w całej tej nieprawdopodobnej historji, to to, że pan ma istotnie słuszność — i że ja sam dam panu w rękę broń, którą mnie pan pobije...

Raz jeszcze przeszedł się po wydeptanym szlaku na podłodze, stanął przed Le Drozem i położył mu dłoń na ramieniu:

— Owego wieczora, kiedy to wpadła mi po raz pierwszy w oczy twarz pańska, w restauracji na rue Royale — słuchałem, jak pan mówił o dzienniku, który należałoby stworzyć. Mówił pan tak dobrze, że słowa pańskie wracały mi potem często na pamięć. Otóż załóżymy ten dziennik...

Le Droz zerwał się na równe nogi — otworzył wpół usta i nie zdołał wydobyć z nich dźwięku. Wciągnął kilkakrotnie głęboko powietrze w płuca i wreszcie wyrzekł stłumionym głosem:

— Pan... Pan chyba nie żartuje?... Dziennik, taki jak... jak ja go rozumiem... jakim go chcę mieć?

— Spokojnie, spokojnie. Nie będzie to dziennik taki — piękny, jakim go pan już widzi, w tej chwili. Nie proponuję panu codziennego pisma. Wie pan dobrze, jakich grubych miljonów na to potrzeba — a kiedy się chce zachować swobodę i niezależność, to nie znajduje się ich tak łatwo... A przecież cała pańska teorja i pański

talent opierają się na zupełnej niezależności — prawda?

— W takim razie — wyjąkał Le Droz — jakże?...

— Zacznie pan od tygodnika na tych samych zasadach i z tym samym zapałem. Wczoraj porozumiałem się telefonicznie z paru osobami. Kilku moich przyjaciół złoży kapitał zakładowy, choć nie w tej wysokości, o jakiej marzylibyśmy. — Proszę się nie lękać, nie będzie pan do niczego zobowiązany względem nich. I niczem też ludzie ci nie będą krępowali pana. Kierownictwo będzie wyłącznie w rękach pańskich; postaram się, że pan będzie miał większość udziałów w przedsiębiorstwie — a tem samem większość w komitecie administracyjnym.

— A pan? — zapytał Le Droz, przesuwając po czole drżącą ręką. — Czemże pan będzie w stosunku do mnie?

— Niczem, absolutnie niczem. Początkowo, wtedy, kiedy to proponowałem wam zajęcie przy wyborach w Oranie, miałem zamiar związać was wszystkich trzech na stałe ze sobą. Ale okazało się, że nie znałem was. Zrozumiałem wówczas, że jedyne więzy, jakie zdolni jesteście przyjąć i które skują was najpewniej, to przyjaźń. I cokolwiek się stanie, liczę teraz na przyjaźń pańską.

— O, co do tego! — zawołał Le Droz — co się tyczy tego... szefie...

— O, jeszcze nie „szefie" — odrzekł Plessoye, poruszony tym męskim dowodem oddania się młodego człowieka. — Jeszcze nie. Trzeba najpierw, by pan przyjął moje warunki. To znaczy musi pan zerwać — i to stanowczo — z temi waszemi nocnemi epopejami. To, co zdołam zebrać, wystarczy zaledwie na utrzymanie dziennika i na skromne utrzymanie dla pana. Ta szczupłość funduszów stanowi właśnie gwarancję niezależności pańskiej i zarazem próbę ogniową dla pana. Bo będzie pan w jednej osobie dyrektorem tego dziennika, jego redaktorem i administratorem. A to wszystko nie zostawi panu wiele czasu, ani nie dostarczy środków na zabawę tam „na górze"...

A widząc coś jakby rozczarowanie, jakieś posępne zamyślenie na twarzy Le Droza i że zgasła radość, która dopiero jaśniała, Plessoye zapytał z życzliwą troską:

— Tak bardzo przeraża to pana?

— O nie! Zdaje mi się, że i bez tego miałem już dosyć tego życia... Nie. Ja myślałem w tej chwili o czem innem. Myślałem, że będę musiał skąpić na wszystkiem, wyrzec się wielkich, oryginalnych reportaży, płacić nędznie współpracowników... Boję się, że gotówem przejść na drugi brzeg... zdradzić...

I z rozpaczą wybuchnął:

— Jakże wybrnąć z tego?! — Jak nie stać się albo rozbitkiem życiowym, albo burżujem?!

— To nie takie łatwe — odrzekł Plessoye. — Wiem o tem. Ale zdaje mi się, że jednak można uchronić się przed jednem, jak przed drugiem. Musi pan zacząć od małego, na to niema rady! Ale wie pan o tem doskonale, że nie będzie panu potrzeba wiele czasu, by zgwałcić los i nagiąć powodzenie ku sobie. Pan — „dziecko szczęścia"! — A wtedy będzie pan mógł płacić współpracownikom dwa razy więcej, niż płacą inni — będzie ich pan rozsyłał po całym świecie w pogoni za tematem do sensacyjnych reportaży. I potrafi pan wtedy utrzymać się w równowadze. Jedną nogą będzie pan tkwił silnie w świecie idei i czynu — a drugą, zeprze się pan — o, lekko tylko! — w świecie bogatej burżuazji. Bo przyznaję panu rację: jest to dosyć brudny światek... I nietylko nie zdradzi pan siebie, ani — idei — ale jeszcze włoży pan kiedyś nogę w strzemię, jakiemuś drugiemu Le Drozowi i nie pozwoli mu zadusić się w zarodku — tak, jak rozumnie biorąc, powinienem był z panem postąpić.

Młody człowiek siedział milczący. Spojrzenie jego gubiło się w dali, jakby usiłowało przebić mgły przyszłości.

— Nie żądam od pana natychmiastowej odpowiedzi, ale muszę ją mieć jutro. Kapitały, któremi rozporządzają moi przyjaciele, nie mogą leżeć długo bezczynnie. Spotkamy się gdzieś na śniadaniu w Łacińskiej Dzielnicy. I czy powie mi pan jutro: „przyjmuję", czy „nie przyjmuję pańskiej propozycji" — postaram się nie zapomnieć, że nazywałem się kiedyś „L'Oye de Plesse".



..zobaczyła stół zarzucony papierami.

— A Vivant? — zapytał nagle Le Droz?

— Co Vivant? — Nie bardzo rozumiem...

— Nieprędko będę mógł dać mu zajęcie w moim dzienniku. A przecież obiecałem mu wielki rajd i coś, w rodzaju dowództwa eskadry lotniczej! Nie będę w stanie pracować porządnie, z poczuciem, że opuściłem go, że Ivan niema zaczepić się o co!

— Ależ to kłopotliwa rodzinka! — westchnął Plessoye. — Dobrze więc. Pomówię o nim z przyjaciółmi, których mam w Komisji Lotniczej. Zatrudni się go przy odbiorze nowych aparatów z fabryk. Jest to zajęcie wymagające dużej sprawności — nie wolne od niebezpieczeństw — i nieźle płatne. Zadowolony pan?

— No tak — na początek...

— Postaram się, by zamianowali mnie napowrót ministrem, żeby dać ciąg dalszy temu początkowi. Obiecuję to panu.

XI.

Tego dnia wieczorem Le Droz nie wyszedł wcale z domu. Pozwolił Ivanovi iść samemu do Roberty, która bardziej niż kiedykolwiek czuła teraz potrzebę ucieczki przed samą sobą. Dziennikarz poprosił panią Mettenat, by przygotowała mu zimny, wieczorny posiłek.

Kiedy staruszka niosąc tacę, weszła do pokoju Le Droza, zobaczyła stół, zarzucony papierami, ilustracjami, kartonami różnego kształtu, linjami i ekierkami; stało na nim kilka flaszek, w nich atrament niebieski, czerwony i tusz — walały się też wszędzie ołówki najróżnorodniejszych kolorów.

— Więc już naprawdę — naprawdę, zaczyna pan wydawać swój własny dziennik, panie Le Droz?! — zapytała.

— Tak, jak to przewidywałem zawsze — odparł lakonicznie.

Lecz nie był w stanie utrzymać się w tym tonie, kiedy zobaczył, jak stare, spracowane ręce pani Mettenat, zniszczone kuchnią, sprzątaniem i praniem trzęsły się silniej, niż zazwyczaj, podając mu posiłek. Uprzytomnił sobie naraz, że ta pani Mettenat miała nieograniczone zaufanie do niego — że dzięki niej, w najgorszych nawet chwilach, miał pewność oparcia i dachu nad głową — że ta stara kobieta dała mu pomoc moralną, która decydującą rolę odegrała w jego życiu...

— Proszę, niech pani podpisze ten projekt tytułowej karty — rzekł, czerwieniąc się okropnie. — To jest, żeby... żeby mi to szczęście przyniosło...

A pani Mettenat, której uczucie pychy do tej chwili było najzupełniej niewiarygodnie wprost, obce — poznała je nagle i to w całej pełni, w ciągu owej sekundy, kiedy kładła swój podpis na tajemniczym arkuszu, o nieustalonym jeszcze formacie, pociętym linjami we wszystkich kierunkach, — lecz który nosił już starannie wymodelowany tytuł:

„NOCĄ I DNIEM".

Podpisawszy się, staruszka odeszła na palcach, a Le Droz rzucił się znów do swej roboty. Chciał pokazać Plessoye energję i umiejętność, na jakie było go stać — dać mu dowód, do jakiej statecznej pracowitości był zdolny. Miał poczucie, że winien to był sobie samemu, by nazajutrz przynieść na umówione śniadanie kompletny szkielet wydawnictwa, a więc: szkic metrampażu — listę współpracowników, wytyczne tematów, jakie zamierzał poruszać — i dokładny kosztorys.

(Ciąg dalszy nastąpi).

GENJALNE WIZJE STANISŁAWA NOAKOWSKIEGO



J. Karny: Portret w granicie prof. Stanisława Noakowskiego.

Istniało w historji sztuki wielu malarzy, zakochanych w architekturze, odtwarzających artystycznie współczesne im budowle lub też fantazjujących w charakterze i stylu epoki. Do nich należeli iluminatorzy średniowiecznych rękopisów oraz malarze Giotto Pesaro, Weronese Galli Bibiena (twórca fantastycznych prospektów teatralnych), wreszcie Bernardo Belotto (Canalette) i nasi Zygmunt Vogel, Aleksander Gryglewski, Aleksander Gierymski, oraz współczesny Leon Wyczółkowski. Wymienieni malarze za wyjątkiem Giotta i Galli Bibieny byli odtwórcami architektury, natomiast Noakowski, to poeta architektury, używający jej jako motywu muzycznego, rozwijającego się logicznie i harmonijnie, jakby w sonacie.

Stanisław Noakowski urodził się 26-go marca 1867 w Nieszawie. Wcześnie począł „komponować ornamenty zawiłe lub monogramy i przerysowywać skąd się dało budowle rozmaite, przeważnie zamki i ruiny romantyczne". Po ukończeniu szkoły realnej w Łowiczu wyjeżdża na studja do petersburskiej Akademji Sztuk Pięknych, którą kończy ze złotym medalem i stypendjum zagranicznem w r. 1891. Noakowski dostał się w tym okresie w krąg rosyjskich pięknoduchów, skupionych około osoby Sergjusza Djagilewa, redaktora czasopisma „Mir Iskustwa" (1899), Baksta, twórców baletu rosyjskiego, K. Somowa, stylizatora petersburskiego rococa A. Benois'a i in. W r. 1899 zostaje profesorem historji sztuki w Strogonowskiej szkole przemysłu artystycznego. W pracę pedagogiczną wkłada Noakowski entuzjazm, a przedewszystkiem prawdziwą kulturę artystyczną. W owych czasach nie było aparatów projekcyjnych. Noakowski w wykładach swoich z historji sztuki posługiwał się tablicą i kredą. Na tej to tablicy zrodziły się pierwsze wnikliwe ilustracje nietylko architektury minionych wieków, lecz począwszy od 1903 własne genjalne przemyślenia. Była to epoka panującego wszechwładnie ekletyzmu. Twórczość prawie-że zamarła. Zastępowały ją wiedza i nauka o stylach. W pierwszym etapie swej twórczości Noakowski badał i poznawał istotę stylów historycznych. Uzbrojony w potężną wiedzę historyzmu, popuścił wodze swej niesamowitej fantazji. Były to „pomysły architektoniczne oparte na wzorach istniejących". Zachwycała go architektura Wersalu i stworzył na jej marginesie własny poemat. Malował baśnie architektoniczne na temat kopulastej architektury starej Rosji, a po swej podróży po Włoszech stworzył cykl pt. „Italia fantastica". — W r. 1907 powstają pierwsze polskie fantazje architektoniczne. — W latach 1914—1916 tworzy 160 plansz, wydanych w „Architekturze polskiej".

Sztuka Noakowskiego wykwitła na podłożu mickiewiczowskiej tęsknoty za krajem. Dziwny ten architekt wybudował zaledwie dwie kapliczki i dwa nagrobki, a rzucił w świat tysiące wizyj architektonicznych, które stały się kluczem do zrozumienia tajemnicy piękna naszej architektury. Szkoda, iż tego nieproduktywnego, tak bardzo słowiańskiego talentu, nie zużyto do jakiejś realnej pracy, a zwłaszcza do tej, o której marzył przez całe życie, tj. do restauracji wawelskiego zamku, którego wnętrza odtwarzał Noakowski z przekonywującą, sugestywną mocą. Twórczość Noakowskiego nie była jednak meteorem na nieboskłonie naszej sztuki. Ogień i światło jej długo ogrzewać będzie potomność i pobudzać do poznania, szacunku i miłości dla piękna, zaklętego w naszych zabytkach.

M. Dienstl-Dąbrowa.



Fragment pałacu z cyklu „Italia Fantastica". Tusz, akwarela. R. 1925.





Na lewo: Na Wawelu za Zygmunta Augusta. Tusz, siena. R. 1924. — Na prawo: Salon empirowy. Tusz, akwarela, gwasz. R. 1922.

Brydż daje — brydż żąda.



Suknia ze skosów, przybrana frendzlą, imitującą rękawy.



Wytworna suknia brydżowa z czarnego lśniącego aksamitu.

Zagadnienie brydżowe, to zagadnienie niebyle jakiej wagi.

Brydż stwarza modę. Modę na suknie brydżowe, nakrycia brydżowe i specjalny typ przyjęć brydżowych.

Dziś śmiało można powiedzieć, że brydż jest bodaj że jedynym łącznikiem towarzyskim, a jeżeli bakcyl brydżowy będzie się dalej rozwijał w tym tempie, to niebawem stanie się najważniejszym łącznikiem rodzinnym.

— Pary narzeczeńskie, małżeńskie, dziadkowie, rodzice, wnuki itd. — wszystko to znajduje punkt porozumienia tam, gdzie chodzi o brydża.

Ale że niema wogóle jednostronnych medali, więc i ten niestety ma dwie strony; łącząc w dziewięćdziesięciu wypadkach, w dziesięciu rozbija wspólnotę towarzyską. Bo trudno o nieszczęśliwsze ofiary, jak ci zabłąkani „niegrający" w gronie zapamiętałych graczy.

Trzeba zatem postarać się o nadanie przyjęciu wyraźnego charakteru: albo — albo.

Albo spokojny brydż, król wszechsezonów, albo karnawałowe szaleństwo w takt takiej, czy innej muzyki.

Jest jeszcze inne wyjście z tej sprawy: rozbicie towarzystwa na dwa odrębne grona: zapewnienie amatorom brydża spokojnego rezerwatu, a karnawałującym paniom wystarczającej ilości partnerów do tańca, nie grożących dezercją. Tylko, że na to trzeba mieć duże mieszkanie i środki materjalne, dopuszczające kosztowne przyjęcia.

— Powaga, skupienie, całkowite oddanie się „rzemiosłu", oto wskazania brydżowe.

— Zacznijmy od sukni brydżowej. Pierwszą zasadą będzie tu, że nie powinna ona mieć cech frywolnych. W miarę poważna, twarzowa i wygodna; oczywiście niepozbawiona cech kokieterji, ale jednak nierzucająca się w oczy temi kokieteryjnemi cechami. „Pani grająca" nie powinna też używać zbyt upojnych perfum, bo to zawsze jest dla bliźnich męczące.

Gracze płci obojga, zasiadając do stolików, niechaj wiedzą, że trzeba wyzbyć się obraźliwości — szczebiotliwości (...kobiety), no i okazywać jak najwięcej opanowania.

Brydż nie rozgrzesza z braku opanowania, które się wypowiada t. zw. „przejechaniem" się po partnerze; nie rozgrzesza z okazywania niezadowolenia, kiedy się los w postaci uparcie bezwartościowych kart naigrywa z gracza; nie rozgrzesza zbyt wyraźnego zaznaczania faktu, że wszystko inne poza stolikiem, kartami, partnerami i blokiem do notowania, powinnoby właściwie zapaść się w ziemię, aby nie mącić skoncentrowanej rozkoszy gry.

Kibice również powinni mieć trochę względów dla graczy... Tu grzeszą najczęściej kobiety.

Kibicująca kobieta sadowi się zwykle przy grającej kobiecie i stara się przemycić jeden temat za drugim. Padają wówczas na zielone sukno zagadnienia wręcz przeciwnej natury, które muszą irytować grających.

Gospodarze nie mogą ani na chwilę zapominać o swej roli — jeżeli wśród towarzystwa są istoty niegrające (biedne kaleki), to są obowiązani dotrzymywać im towarzystwa. Pani i Pan domu muszą czuwać nad wszystkiemi szczegółami, — łączyć lub rozdzielać w miarę wytwarzających się samorzutnie sytuacji.

Jeżeli brydż jest czysto męski, a pani domu nie gra, znika poprostu po kolacji, nie potrzebuje czuwać do samego końca, co zdarza się, niestety, o ile wśród gości jest chociażby jedna niegrająca istota płci pięknej.

Dlatego też należy przy zapraszaniu na brydża sprawę zgóry rozważyć, gdyż o wiele lepiej nie stwarzać takich sytuacyj.

Przejdźmy teraz do samej organizacji przyjęcia.

Pierwszą i zasadniczą potrzebą przyjęcia brydżowego będą stoliki do kart — z suknem wzorowej czystości — kredki, lub co lepiej, specjalne bloczki z ołówkami. Karty świeże i czyste. Zapas papierosów i popielniczek. Niedopałki usuwać często a dyskretnie, aby nie zatruwały jeszcze bardziej i tak zwykle zatrutego powietrza.

Korzystać z każdej okazji, aby pokój przewietrzyć. Gdy tylko gracze pokój opuszczą, trzeba okna otworzyć naroścież i trzymać je tak możliwie długo.

Co do samego przyjęcia kulinarnego — to może ono być dwóch typów: zimny bufet lub przystawiane stoliczki. Do bufetu „ruszamy" gracz. — Która zaś z pań domu chce sobie zasłużyć na specjalnie dobrą notę, nie powinna odwoływać grających od stolika. Nakrycie „klasyczne" brydżowe to małe stoliki „przystawiane" do stolika od kart (aby nie tracić drogocennego czasu) na dwóch lub czterech jego rogach. Tutaj też wtrącić trzeba uwagę, że na specjalny dobór potraw „nie warto się zbytnio wysilać", bo najczęściej spotykamy się z „sonambuliczną odbiorczością", która zdolna byłaby łykać kamyki, tak jest czem innem zaobserwowana. Wiadomą jest rzeczą, że człowiek, który pod „karą śmierci" nie powinien np. jadać przypraw ostrych lub słodyczy, jeżeli spotka je przy brydżu, połknie, nie wiedząc nawet, co je, albo poprostu dlatego, żeby się coprędzej poczuć znów wolnym od pieczołowitej opieki pani domu.

Posiłek brydżowy musi być: pożywny, lekki i estetyczny.

Ludzie, siedzący godzinami na miejscu nie powinni być częstowani daniami ciężkiemi, sprowadzającemi pragnienie i co najważniejsze, grożącemi konfliktami z zasadniczą dietetyką. Trzeba się więc starać zestawić posiłek tak, aby zawierał w sobie wystarczające ilości kalorji, a zachował lekkość, nieobciążającą organizmu. Ociężałość dosytu wpływa bowiem ujemnie na lotność wyobraźni, a smakosz, który w obliczu ulubionych przysmaków o „ciężkich wartościach" nie umie zachować miary, staje się łatwo ofiarą. Dlatego też pokusy kulinarne, jakie pani domu podaje swoim gościom, niechaj płacą rozkoszą wzrokową za brak ciężaru gatunkowego.

Klasycznemi daniami będą tutaj — misterne, lekkie kanapki, drobne ciasteczka, wyzute z nadmiaru słodyczy, napoje orzeźwiające, bogate w witaminy (wszelkie kwasy, lemoniady, oranżady itp.) wszelkie galaretki, a przedewszystkiem sałatki i kompoty z surowych owoców. Te ostatnie, jako znakomicie orzeźwiające i gaszące pragnienie, są zwykle witane z entuzjazmem.



Nowoczesna ceramika na stolik brydżowy.

Strony estetycznej nawet i przy brydżu lekceważyć nie należy. A więc nakrywa się specjalnemi serwetkami, znacząc je misternie ręcznym haftem w uświęconych barwach: czerwonej i czarnej.

Przyjęciu brydżowemu należy nadać cechy estetyczne. Oczywiście zrobić to może tylko pani domu, dokładając sił, aby nastrój był przytem miły i pogodny.

Marzenna Saryusz-Stakowska.

★

SAŁATA Z DROBIU. Młodą kurę, duże kurcze lub kawałek indyka, ugotować z włoszczyzną, jak na rosół. Mięso wyjąć, odjąć gorące od kości, bo łatwiej od nich odchodzi, zastudzić. Na rosole zrobić galaretę, biorąc trzy do czterech listków żelatyny na szklankę rosołu, wlać ją do szerokiej formy o dużym otworze i zastudzić. Mięso pokrajać na zgrabne, o ile można, równe kawałki. Zastygłą galaretę wyłożyć na półmisek. W środek wkładać kawałki drobiu, maczając każdy w gęstym sosie majonezowym. Naokoło galarety ułożyć sałatę zieloną lub sałatę z jarzyn. Na niej najładniejsze, białe kawałki z piersi, umaczane w gęstym sosie. Pomiędzy niemi jaja na twardo, całe raki lub szyjki rakowe. Oddzielnie podać w sosjerce sos majonezowy.

SAŁATY Z RYBY. Jakąkolwiek rybę gotowaną lub smażoną (w ostatnim wypadku oprócz ości odrzucić jeszcze i skórkę), pokrajać w kawałeczki wielkości włoskiego orzecha. Wymieszać z taką samą ilością sałaty jarzynowej i sosu majonezowego, ułożyć w salaterce i ubrać garniturem, jakim w danej chwili rozporządzamy.

Smak od ryby zastudzić na galaretę, biorąc po trzy listki żelatyny białej na szklankę smaku i kolorując go karmelem na kolor złocisty. Galaretkę tę posiekać, wiankiem jej otoczyć sałatkę, przybrać ją gałązkami zielonej pietruszki, rakowemi szyjkami, ćwiartkami jaj na twardo gotowanych.

Inny sposób podania tej sałatki jest następujący. Ułożyć na półmisku jarzynową sałatkę, zaprawioną oliwą i octem lub rzadkim sosem majonezowym, na to ułożyć gęsto nieco większe kawałki ryby, przykryć gęstym majonezowym sosem, wkoło ułożyć, latem listki sałaty głowiastej, zimą endywję lub eskarolkę, posypać kaparkami lub drobno pokrajanemi zielonemi korniszonami, potrzymać godzinkę na chłodzie i wydać.

GALARETA Z NÓŻEK CIELĘCYCH. Jedną główkę cielęcą i cztery nóżki gotować z włoszczyzną, jak na rosół. Gdy zmiękną zupełnie i od kości odstaną, wyjąć, wypłókać w zimnej wodzie, aby usunąć męty do nich przyległe, pokrajać w zgrabne kawałki główkę, a w niezbyt drobną kostkę nóżki. Smak przecedzić, dodać parę łyżek octu, sklarować białkami z łupinkami, przecedzić raz jeszcze, jeśli niema ładnego koloru, dodać parę kropel karmelu. Nalać tego auszpiku na dwa palce do formy, zastudzić, kłaść na to najładniejsze kawałki główki,

skórką wdół i plasterki móżdżku cielęcego, następnie drobniejsze kawałki, nalać wszystko auszpikiem i zastudzić. Przed polaniem wyłożyć na półmisek, ubrać sałatką, rzerzuchą, lub chociaż jarmużem zielonym. Podać do tego ocet i oliwę lub sos musztardowy z kaparami.

JAJA W GALARECIE. Można na nie użyć jaja kurze, perlicze lub czajcze. Te dwa ostatnie gatunki są szczególnie smaczne i przez smakoszów poszukiwane. Dziesięć jaj ugotować na twardo, ostudzić w zimnej wodzie, obrać ze skorupek, poprzekrawywać na połówki. Przygotować trzy szklanki dobrego rybnego lub mięsnego rosołu, ładną marchewkę w nim ugotowaną, pokrajać w cienkie plasterki, przygotować też kilka marynowanych grzybków, parę korniszonów pokrajać w plasterki, parę gałązek zielonej pietruszki, nieco kaparów lub groszku zielonego, świeżego, czy też z konserwy. Niekoniecznie są wszystkie te dodatki, lecz przy ich użyciu będzie galareta ozdobniej wyglądała.

Sześć listków żelatyny zimą, 9 latem, wymoczyć w zimnej wodzie i rozpuścić w rosole. Formę blaszaną lub glinianą postawić na lodzie, nalać w nią na palec galarety. Gdy dobrze zastygnie ułożyć na niej jajka, stawiając z nich część wkoło formy w taki sposób, aby połówki stały stroną przeciętą do ścianek formy, to jest, aby żółtka były widoczne. Pomiędzy jajami układać ładnie dodatki, uważając, aby zielone gałązki pietruszki, korniszony i kapary były widoczne z zewnątrz po wyrzuceniu. Zalać galaretą, zastudzić mocno, trzymać w formie niemniej niż 6 godzin, bo zawcześnie wyrzucona galareta może się rozpaść. Wyłożyć na półmisek, ubrać wkoło sałatką, roszponką lub jarmużem. Oddzielnie podać w sosjerce sos provençal, rémoulade lub tatarski.

PLACUSZKI BRYDŻOWE. 20 dk parmezanu, lub chester utrzeć na tarce i przesiać; dodać tyle samo (na wagę) mąki i świeżego masła. Wyrobić szybko (na chłodzie). Ciasto rozwałkować dosyć cienko, potem krajać równo podłużne, lub okrągłe placuszki. Kłaść na blachy, smarowane tłuszczem i piec na rumiano. Piec powinien być dobrze gorący.

PALUSZKI SŁONE FRANCUSKIE z 10 dkg masła i 10 dkg mąki, a przed ostatniem wałkowaniem dodać ½ dkg soli (kto lubi, nawet i więcej, bo do 1 dkg) i łyżkę stołową kminku. Rozwałkować ciasto na grubość małego palca, pokroić w paski dosyć długie a wąskie na 1½ cm, skręcić je kilka razy i rozciągnąć na blasze; potem posypać jeszcze solą i kminkiem. Upiec w gorącym piecu.

OBWARZANKI KRUCHE, SŁONE. Przyrządzić kruche ciasto z 20 dkg mąki, 10 dkg masła, 1 jajka i na koniec noża amonjaku w proszku lub sody oczyszczonej. Wszystko razem zagniatać obu rękoma; gdy ciasto będzie zupełnie gładkie i lśniące, odkrawywać po kawałku ciasta nożem (podsypując stolnicę mąką) i rozwałkowywać na wałki grubości palca. Wałki te pokrajać w równe kwadratowe kawałki mniej więcej na 1—2 centymetrów. Każdy odkrajany kawałeczek ciasta znów ręką rozwałkować i formować obwarzaneczki, spajając obydwa końce w środku; stroną złożoną układać na spód. Smarować je jajkiem i posypywać solą, grubo tłuczoną oraz kminkiem. — Obwarzaneczki te są wyborne i mogą być podawane zarówno do herbaty jak i do czarnej kawy lub wina.

PASJANSE. Dziesięć białek ubić na sztywną pianę, dodać 50 dkg cukru, wymięszać, potem sypać lekko po łyżce 40 dkg mąki, ciągle mięszając. Blachy wysmarować masłem i szprycować na nie malutkie, okrągłe kółeczka, które upiec prędko w gorącym piecu. Po wyjęciu można zostawić, jak są, albo powlec czekoladowym lukrem.

ANYŻKI. 40 dkg cukru i 5 całych jaj ubić na ogniu, aż masa zgęstnieje i dobrze się zagrzeje. Ściągnąć z ognia i bić trzepaczką, aż ostygnie. Wtedy dosypać 20 dkg mąki i wymieszać. Blachę posmarować masłem i szprycować na nią okrągłe kulki. Gdy się rozleją na placuszki, posypać na środku anyżkiem. Postawić w cieple na dwie godziny, żeby dostały grubej skórki — wstawić do średniego pieca — a gdy od spodu zaczną żółknąć — wyjąć.

HERBATNIKI ANGIELSKIE. 40 dkg mąki — 16 dkg cukru — 3 żółtka — pół dkg amonjaku w proszku, pół szklanki mleka, pół laski utłuczonej wanilji i 15 dkg masła. Zagrzać w rondelku mleko, cukier, jaja i wanilję, bijąc widelcem lub trzepaczką na ogniu, aż masa zgęstnieje, poczem zdjąć z ognia i bić jeszcze, aż ostygnie. Ostudzoną masę wlać w mąkę na stolnicę, dodać masło, zagnieść wszystko, potem wałkować, składając, jak ciasto francuskie 5—6 razy. Po ostatniem rozwałkowaniu wynieść ciasto na chłód, poczem cienko wałkować, wycinać pół księżyce, układać na wysmarowaną masłem blachę i upiec w średnim piecu.

Życie towarzyskie i artystyczne

NA TORZE WYŚCIGOWYM W ZAKOPANEM



W ub. niedzielę, jako w czwartym dniu zimowych wyścigów konnych na torze zakopiańskim, odbyło się kilka gonitw, z których czwarta o „Wielką Nagrodę Tatr" im. naczelnego redaktora „I. K. C." Marjana Dąbrowskiego — 2.500 zł. na dystansie 2.800 m. — cieszyła się największem zainteresowaniem licznie zgromadzonej publiczności. Na zdjęciu moment dekorowania przez red. Dąbrowskiego (x) zwycięskiego konia „Irchy", własność T. Kostkiewicza.

SŁAWA BESTANI



Na czoło zespołu śpiewaczego wileńskiej operetki w „Lutni" wybija się znakomita lwowska śpiewaczka, Sława Bestani. Obdarzona niepospolitą urodą i pięknym głosem zdobyła sobie w szeregu sztuk uznanie i sympatję Wilna. Po wielkim sukcesie w roli tytułowej w operetce „Rose Marie" powtórzyło go ostatnio, występując w operetce Kalmana „Bajadera".

„BOLESŁAW ŚMIAŁY"



Do wielce udanych przedstawień w Teatrze Polskim w Poznaniu należy wystawienie „Bolesława Śmiałego" Stanisława Wyspiańskiego. W tytułowej roli wystąpił dyr. Boelke, którego widzimy w zbiorowej scenie aktu trzeciego (na pierwszym planie).

„MANUELA"



Na deskach Teatru Nowego w Poznaniu wystawiono ostatnio dwie interesujące sztuki: „Manuelę" M. Acharda, oraz „To więcej niż miłość" Bus-Fekete. Obie sztuki cieszyły się wyjątkowem powodzeniem dzięki znakomitej grze Teofili Koronkiewiczówny, wykonawczyni ról tytułowych.

Fot. M. Ryś — Poznań.

PORANEK pięknej pani...



Wypoczęta i roześmiana zasiada piękna pani przed toaletą. To rozkoszne „laboratorjum", lśniące kryształem flakonów, srebrnych filigranów, różnokolorowem szkłem i taflami, zazwyczaj kombinowanych zwierciadeł, jest jednym z najpiękniejszych szczegółów pokoju sypialnego, względnie specjalnej ubieralni nowoczesnej kobiety. Unosi się nad niem zapach wytwornych perfum — zawsze tych samych, które sharmonizowane są subtelnie z urodą i typem fizycznym właścicielki tego wnętrza.

Dzisiejsza sztuka stosowana potrafiła z zastawy toaletowej uczynić istne cacka i arcydziełka — projektowane często przez znakomitych artystów. Przeważają kryształy prześlicznie rżnięte w rozmaitej kombinacji barw i odcieni. Srebro, które na toalecie naszych prababek stanowiło zdecydowaną dominantę — ciężkie, zdobione wyprawnemi (panieńskiemi) monogramami i herbami — dziś ustąpiło w dużej mierze miejsca polerowanej chromowej stali, której głęboki odbłysk przepysznie harmonizuje z kryształem lub szlachetnem szlifowanem szkłem.

Rozwój „magicznego laboratorjum" spowodowany został rosnącemi z każdym dniem wymaganiami, stawianemi urodzie kobiecej. Trzeba dziś całego zespołu kosmetyków, aby pielęgnować racjonalnie każdy szczegół twarzy.

A więc zacząwszy od kremów, których na toalecie pięknej pani znajdziemy kilka, a czasem nawet kilkanaście, dzielących się na kremy do rąk i do twarzy, na kremy nocne i dzienne — poprzez talki i wody tonizujące, kremy masażowe i płynne blansze, aż do lakierów do paznokci, tuszu do rzęs, niebieskiej farbki do powiek, różu do warg, policzków i uszu przejdziemy wreszcie do specyfików stosowanych indywidualnie, dobranych do danej właściwości cery, włosów i t. d.

Sama pielęgnacja paznokci wymaga obecności kilku kryształowych słoików i rżniętych szklannych flaszeczek. Istnieje specjalny płyn zmiękczający paznokcie i zapobiegający ich pękaniu — lakiery w kilku kolorach zależnie od pory dnia i barwy sukni dodają uroku dłoniom pięknej pani.

Umiejętne posługiwanie się tem nowoczesnem laboratorjum wymaga specjalnych znajomości, wiele smaku i odczucia. To ostatnie jest bodaj najważniejsze i decyduje o tem, czy piękna pani, opuściwszy swój buduar, posiadać będzie wygląd wytwornej damy — czy... demi-mondki.

Wszelka przesada, zwłaszcza w stosowaniu szminki, wywołuje wrażenie niesmaczne, a czasem wręcz ordynarne.

A teraz zastanówmy się, jakiż jest cel ostateczny nowoczesnej toalety pięknej pani? Kobieta, zasiadająca przed zwierciadłem musi być artystką. Kosmetyka ma na celu umiejętne zaakcentowanie wszystkich cech charakterystycznych danego typu urody — wydobycie ich i nadanie im właściwego blasku. Nie służy natomiast kredka i szminka do sztucznego „przerabiania" twarzy, do „przemalowywania" jej na twarz zupełnie odmienną. Zmienić twarz może tylko w nielicznych wypadkach chirurg-plastyk. — Kosmetyka natomiast ma za zadanie kobiecą twarz upiększyć i nadać jej swoisty, indywidualny koloryt i wyraz.



Powyżej na lewo: Nałożony na paznokcie lakier nadaje im pięknego połysku.



Na lewo: Brwi powstają przez pociągnięcie ich specjalnym ołówkiem...



Na lewo: Subtelna perfuma utrzymuje się najdłużej pod włosami...



Na lewo: Bezwonnej kredce do warg dodaje się specjalnego zapachu..





Poranne saut-de-lit z cieniutkiej gazy jedwabnej usianej pailletami, z rękawami z białego lisa. Kolory takiego „poematu", tkanego jakby z porannych mgieł, dobiera piękna pani stosownie do karnacji ciała, lub do swych specjalnych upodobań, czy też stosując do barw dominujących w sypialni i buduarze.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

BARSZCZ PO RUMUŃSKU. Pół kg obranych i drobno pokrajanych buraków gotuje się z dodatkiem pokrajanej cebuli i włoszczyzny oraz z kawałkiem (20—25 dkg) tłustego mięsa wołowego. Po dwugodzinnem gotowaniu, t. j. kiedy mięso już jest miękkie, wyjmuje się je i kraje w małe kawałki. W wazie uciera się 2 żółtka z łyżeczką cukru, soli i octu lub soku cytrynowego, nalewa na to zupę wraz z wszystkiemi jarzynami, wkłada pokrajane mięso i kilka w talarki skrajanych gotowanych ziemniaków. Podaje się bardzo gorące, sprawdziwszy poprzednio czy zupa dość słona i kwaśna. Powinna być pikantna.

SAŁATA Z BIAŁEJ KAPUSTY. Sparzyć główkę białej kapusty, następnie drobno skrajać, posolić, a po odleżeniu wycisnąć i wymieszać na salaterce z majonezem, ubitym na parze z jednego jaja, 2 łyżek oliwy i tyleż octu lub soku cytrynowego, troszki soli i cukru oraz kminku. Sos ubija się aż zgęstnieje, poczem ostudza trochę i dodaje jeszcze 2 łyżki oliwy.

SALSEFJA (CZARNY KORZEŃ). Mało u nas używana jarzyna, która w zupełności zasługuje na to, aby była na nasz stół przyjęta. Smak ma podobny do szparagów, lecz dużo łagodniejszy, bez goryczy i włókien, jakie często u szparagów spotykamy. Sposób przyrządzania podobny jak u bulw, który niedawno podawaliśmy. Przy zakupnie pamiętać należy, aby wybierać tylko korzonki równe, nie zwężające się ku dołowi, gdyż te są w smaku mniej delikatne. Po oczyszczeniu, t. j. oskrobaniu i szybkiem opłokaniu wkłada się korzonki do wody z octem, aby jarzyna nie czerniała. Po przygotowaniu całego zapasu (na 4 osoby wystarczy 75 dkg) rzuca się osączoną salsefję do gotującej się wody z solą i kostką cukru i gotuje się około pół godziny. Podaje się polaną rumianem masłem z bułeczką lub z sosem holenderskim. **Przepis na sos:** 16 dkg masła, 4 łyżki rosołu, łyżka octu, szczypta soli, cukru i białego pieprzu oraz łyżeczka mąki, wszystko rozkłócić (masło naprzód roztopić) i ubijać następnie na parze aż zgęstnieje. Sos powinien być gęsty, o ileby jednak zgęstniał zanadto, dolać w miarę rosołu.

JARZYNY W CIEŚCIE. Różne jarzyny, a to: salsefję, bulwy, seler, karotki, kalafior, duże główki brukselki, ugotować w słonej wodzie, pokrajawszy wprzód większe jarzyny na odpowiednie kawałki. Podczas kiedy się jarzynki gotują przygotowuje się **ciasto winne** do oblewania, a mianowicie: 12 dkg mąki, pół szklanki białego wina, łyżkę oliwy, 2 żółtka, trochę soli ubija się dokładnie i miesza z pianą z 2 białek. Jarzyny osączone z wody, obsusza się jeszcze przez ułożenie na czystej ściereczce, następnie macza w cieście i smaży na mieszanym, mocno rozpalonym tłuszczu. Usmażone kawałki kładzie się naprzód dla osączenia z tłuszczu na bibule, następnie układa zgrabnie na półmisku. Osobno podaje się gęsty sos pomidorowy robiony nie na śmietanie a zasmażce, zalanej zimnym rosołem. Odrobina cynamonu podnosi smak pomidorów.

MLECZKO CIELĘCE Z JARZYNAMI. Mleczko odjęte z paru mostków cielęcych (można je dostać na wagę) odparza się wrzącą wodą z solą i octem, następnie kraje w plastry, posypuje mąką i smaży na maśle, następnie składa się je w rondelku, zalewa sokiem odgotowanym z patelni, na której się smażyły, przykrywa szczelnie i wstawia do piecyka. Osobno dusi się na maśle 4 dkg pieczarek, zaprawia je jasną zasmażką z łyżki masła i tyleż mąki zalanej małą filiżanką mleka, rozkłuconego z żółtkiem oraz szczyptą soli i cukru. Do sosu tego wkłada się ugotowaną oddzielnie i podzieloną na pojedyncze różyczki główkę kalafiora, małą puszkę groszku zielonego, szparagów z puszki lub ugotowanej salsefji, wkońcu przygotowane poprzednio mleczka. Po sprawdzeniu czy sos jest dość słony dorabia się smak sokiem cytrynowym, ewentualnie też szczyptą cukru. Potrawę pozostawia się na brzegu pieca jeszcze 15 minut, aby „naciągła" — nie gotując jej więcej. — Potrawa ta nadaje się też dla rekonwalescentów względnie osób o słabych żołądkach, w tym wypadku po indywidualnem odrzuceniu niektórych jarzyn.

SANDACZ PO FRANCUSKU. Oczyszczonego z łusek i wymytego sandacza rozpłatać przez długość, odciąć głowę, wyjąć wszystkie ości, złożyć rybę napowrót, owiązać lub spiąć spinaczami, włożyć do wanienki na ruszcik, zalać szklanką białego wina, dodać łyżkę masła i poddusić pod pokrywą. Następnie wyjmuje się na pół gotową rybę, układa na niklowym półmisku i polewa poprzednio przygotowanym następującym **sosem pieczarkowym:** kilkanaście pieczarek lub grzybków z konserw pokrajanych w talarki udusić na łyżce młodego masła, podsypać łyżką mąki, zasmażyć, rozprowadzić rosołem z pod ryby, dodać smak, w którym się ryba dusiła i małą filiżankę śmietanki; wymieszać, zagotować i podprawić 3—4 żółtkami, utartemi z łyżeczką masła i solą. Sosem tym, który powinien być bardzo gęsty, aby nie ściekał, pokrywa się rybę, posypuje z wierzchu grubo parmezanem, kropi masłem i wstawia do gorącego pieca na 20—25 minut. Podaje się na tym samym półmisku, na którym się zapiekało z krokietkami z ziemniaczków bułki lub ryżu.

Sc. Ko.



KUCHNIA NIESKOŃCZONYCH MOŻLIWOŚCI

Na wystawie gospodarstwa domowego w Chicago pokazano nadzwyczaj praktyczną kuchnię gazową, która może nietylko spełniać wszelkie funkcje gotowania, pieczenia itd., ale służy też jako aparat do obsuszania naczynia po zmywaniu. W osobnych przedziałkach tego piecyka gazowego są ułożone działkowe półki, na których w krótkim czasie wysuszyć można dużą ilość naczynia, przy zaoszczędzeniu ścierek i co więcej — czasu pracującej w kuchni osoby.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

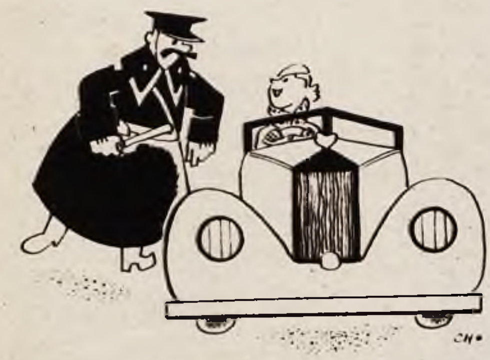
Święta rzym.-kat.	Tydzień 7 — **Luty** — Dni 29
Niedziela **9** Apolonji	Zupa szczawiowa /konserwa/ z jajami. Salsefia z rumianem masłem. Mostek cielęcy nadziewany z marchewką duszoną i groszkiem zielonym. Ryż kasztanowy z bitą śmietaną. <u>Kolacja:</u> Mieszana wędlina z sałatką z białej kapusty, pączki.
Poniedziałek **10** Scholastyki p.	Zupa z płatków owsianych. Mleczka cielęce z jarzynami. Ozór peklowany z puree z grochu. Kompot mieszany. <u>Kolacja:</u> Płatki wypiekane z szynką.
Wtorek **11** Łucjana	Barszcz po rumuńsku. Brukselka z masłem. Zraziki z wieprzowej szynki na kminie z makaronem. Jabłka zapiekane z pianką. <u>Kolacja:</u> Knedelki tyrolskie ze słoninką.
Środa **12** Eulalji p.	Salsefia w sosie holenderskim w miejsce zupy. Hachee na kruchem cieście z sałatką fasolkową. Kaczka w potrawie z ryżem. Dołeczki z powidłami. <u>Kolacja:</u> Cynaderki duszone z kaszką.
Czwartek **13** Katarzyny Ricci	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa, zapiekana w beszamelu. Pieczeń barania z rusztu z włoską kapustą duszoną. Strudel z makiem. <u>Kolacja:</u> Szpinak z parówkami.
Piątek **14** Walentego m.	Zupa z bułki /panada/. Bulwy w sosie śmietanowym zapiekane. Sandacz po francusku z pieczarkami. Pączki grysikowe. <u>Kolacja:</u> Twarde jaja i sałata ziemniaczana z śledziem.
Sobota **15** Faustyna	Zupa z podróbek gęsich lub kaczych. Jarzyny w cieście w sosie pomidorowym. Kotleciki baranie z rusztu z pommes frittes i sałatą z kapusty. Tort jabłeczny. <u>Kolacja:</u> Omlet naturalny z kiełbaskami.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązanie przekładanki literackiej z nru I. „Asa".

Po przestawieniu liter w rzędach poziomych otrzymujemy imię i nazwisko Stefana Żeromskiego, oraz tytuły jego czterech powieści: „Walka z szatanem", „Słowo o Bandosie", „Puszcza jodłowa" i „Ludzie bezdomni".

PANI PRZY KIEROWNICY



— Pani niema numeru rejestracyjnego?
— Nie szkodzi, ja go znam przecież na pamięć?

DOBRA CIOCIA



— Czy ciocia, której pieska pielęgnowałeś, zostawiła ci co w spadku?
— Owszem, właśnie tego pieska!...

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

1. SPRZEDAŻ JAJ.

Przekupka zabrała na targ pewną ilość jaj i część ich sprzedała. Nazajutrz, dzięki nośności jej kur, ilość niesprzedanych jajek podwoiła się, na targu zaś sprzedawała tyle, co poprzedniego dnia. Trzeciego dnia pozostała reszta uległa potrojeniu, na targu zaś przekupka sprzedała tyle, co przedtem. Czwartego dnia ilość pozostałych jaj wzrosła czterokrotnie, ubyło zaś znów tylesamo, wreszcie piątego dnia ilość jaj wzrosła pięciokrotnie, a po sprzedaniu tej samej ilości jaj, co dnia poprzedniego, nie pozostało przekupce ani jedno jajko. Po ile jaj przekupka sprzedawała codziennie i jaka jest możliwie najmniejsza ilość jaj, zabranych przez nią na targ pierwszego dnia?

2. PIĘCIU BANDYTÓW.

Pięciu bandytów stwierdziło, że w ostatnich napadach udało się im zdobyć ogółem 2000 złotych. Jednakże system podziału nie przyznawał im równych części i każdemu przypadała inna suma. Jeden z bandytów zauważył, że gdyby Antoni miał dwanaście razy więcej, Bartłomiej trzy razy więcej, Czesław tyle samo co ma teraz, Dominik dwa razy mniej i Edmund jedną trzecią posiadanych obecnie pieniędzy, to również mieliby 2000 złotych. Po ile mieli pieniędzy?

3. SPIS LUDNOŚCI.

Przy wypełnianiu arkusza spisowego zauważono, że mąż jest o osiem lat starszy od swej żony, a ta skolei o osiem lat starsza od siostry. Żona ma tyle lat, co jej syn i siostra razem, mąż ma tyle lat, co żona i syn w sumie. Jeśli potrojona liczba lat męża równa się pięciokrotnej ilości lat siostry żony, to ile każda z nich ma lat?

4. ZAKUPY PRZEDŚWIĄTECZNE.

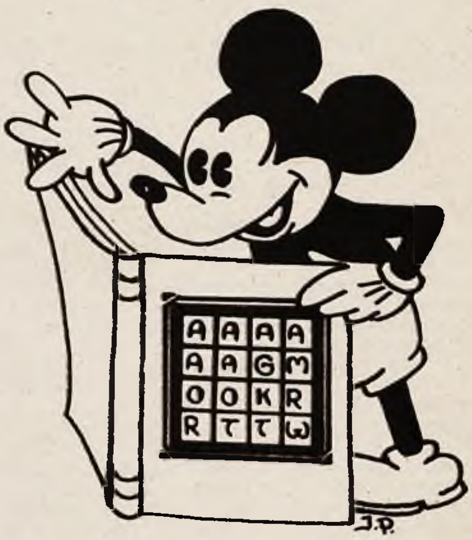
Pan Wytworniś udał się na przedświąteczne zakupy i w jednym z najelegantszych sklepów (pan Wytworniś ubiera się tylko w takich) dowiedział się, że palto, laska i kapelusz kosztują razem 420 złotych. Palto kosztuje o 270 złotych więcej niż laska, a laska i palto w sumie kosztują o 360 złotych więcej od kapelusza. Ile kosztuje każdy z trzech przedmiotów osobno?

5. WINO I WODA.

Dwie szklanki o równej objętości są wypełnione w jednej trzeciej i w jednej czwartej winem. Każdą szklankę dopełnia się wodą i miesza się dokładnie zawartości obu szklanek. Połowę otrzymanej mieszaniny wlewa się do jednej szklanki. Jaką jej część tworzy wino, a jaką woda?

Zagadka literowa

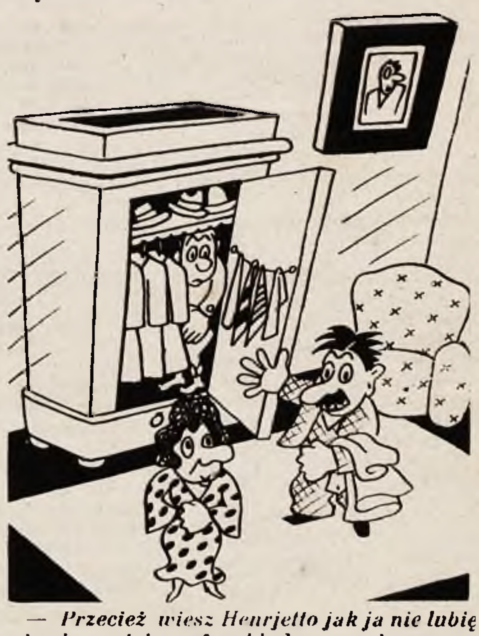
Ułożył J. Piękniewski — Łódź.



Z liter, zamieszczonych w 16-siu polach książki, należy ułożyć cztery słowa, oznaczające: 1. rodzaj wyrobu alkoholowego 2. strój rzymski, 3. bożka mitologicznego 4. środek do tamowania krwi.

HUMOR ZAGRANICZNY

MĄŻ PEDANT



— Przecież wiesz Henrjetto jak ja nie lubię gdy do mojej szafy wkładasz swoje rzeczy.
(„Rire").

NOWE KSIĄŻKI.

Najciekawszą może postacią wśród polskich podróżników jest **Jerzy Giżycki**, ziemianin z Kresów, który po studjach uniwersyteckich w Brukseli, jeszcze przed wojną światową, wyruszył na dziewięć lat do Ameryki, w poszukiwaniu pracy. Ale pogoń za chlebem, jak sam zeznaje, nie była jedynym powodem jego wędrówek. Szukał nowych wrażeń, niecodziennych przeżyć, ciekawych środowisk, swobody, rozmachu jednostki, niekrępowanej rutyną, hipokryzją, filisterstwem. Przekonał się sam, że gonił za nieuchwytną ułudą, chimerą. Przeżycia swe i wrażenia z pobytu na ziemi amerykańskiej zamknął obecnie Giżycki w pokaźny, 450 stron liczący, pierwszy w naszej literaturze pamiętnik Polaka emigranta, robotnika amerykańskiego. Tytuł pamiętnika **„Chleb i chimera“** — a w pięknej szacie graficznej wydała tę książkę **Główna Księgarnia Wojskowa.**

Książkę tę, obfitującą w emocjonujące, dramatyczne, to znów niepozbawione satyrycznego spojrzenia epizody, pełną bezpretensjonalnych, a jednak literacko ujętych wrażeń, czyta się z wielkiem zaciekawieniem. Giżycki z Chicago powędrował na prerje, gdzie próbował zawodu cowboya, stamtąd znów udał się w Góry Skaliste, by pracować w kopalniach rudy i znaleźć się nawet jako szofer w orszaku służby słynnego Johna Rockefellera, syna. Kalifornja, praca w wytwórniach filmowych, środowisko sekciarzy, „gdzie nawet Bóg się reklamuje“, wreszcie szeregi amerykańskiej armji, gdzie Giżycki znalazł się w czasie wojny, a później w Waszyngtonie praca w pierwszem polskiem poselstwie, oto dalsze etapy przeżyć Giżyckiego i barwne, emocjonujące epizody książki. Daje ona prawdziwy, na głębokich spostrzeżeniach oparty, dyskretnie malowany obraz tak nam obcego, a tak dla nas ciekawego, amerykańskiego świata.

Nakładem Krakowskiego Ogniska Związku Podhalan ukazały się **„Gęśle z jawora“**, zbiorek opowiadań **Antoniego Zachemskiego**, osnutych na tle życia Podhalan. Książeczka ta, którą czyta się z dużą przyjemnością, zawiera kilka sentymentalnych obrazków, poświęconych legendom o Tatrach, działalności Orkana i Galicy, a ponadto kilka bardzo dobrych, z dużym humorem, z bystrem podpatrzeniem psychiki górala, dobrą gwarą napisanych opowiadań. Zachemski przedewszystkiem uwypuklił honorność, spryt i dowcip górali. Wprost świetnem jest opowiadanie „Jędrzej Wierch i paragrafy“.

(swb).

NA SCENIE.

Stwierdzić trzeba, że największe zainteresowanie ostatnio w świecie teatralnym, wywołał powrót **Zygmunta Nowakowskiego** na scenę po siedmiu latach rozłąki. Nowakowski wystąpił w teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie w **„Chimerach“** L. Chiarelliego, grając w tej sztuce, mało interesującej współczesnego widza, dziwną postać Lucjana Lanci. Postać ta nie prowadzi w sztuce żadnej akcji, jest cynicznym pieczeniarzem i ironistą. Nowakowski jest w tej roli sobą samym, wziętym wprost z życia, ze znanych feljetonów, zamieszczanych na łamach „I. K. C.“. Do interpretacyj Nowakowskiego postać ta nabiera innych wartości, błyszczy dowcipem. Nowakowski przekonywująco i dyskretnie podaje wszystkie paradoksy, subtelne i cięte złośliwości. Wspaniałą kreację dała w „Chimerach“ Zofja Jaroszewska, która arcytrudną rolę, pełną epizodów skrajnej rozpaczy i histerycznych szałów radości, uczuć ciepłych i zimnych, zagrała niezwykle pięknie, subtelnie i głęboko. Znakomicie brutalnego bankowca, uwodziciela, zagrał Fabisiak, a postać męża szlachetnie ujął Biegański.

Teatr Polski w Poznaniu dał ostatnio bardzo staranne przedstawienie arcydzieła Wyspiańskiego, tragedji **„Bolesław Śmiały“**. Po zgonie Józefa Sosnowskiego, pierwszego i najlepszego w Polsce odtwórcy bardzo trudnej roli Bolesława Śmiałego, dyr. Boelke jest najlepszym dziedzicem tej roli w Polsce. Obecnie gra po raz trzeci z dużą siłą i pełnym artystycznym wyrazem. Dobrych partnerów ma Boelke w młodym Hańczy, grającym potężną postać biskupa Stanisława i W. Chanieckiej, odtwarzającej pięknie rolę Krasawicy. Wyreżyserowała „Bolesława Śmiałego“ Helena Arkawin, a piękną oprawę sceniczną, według projektu samego Wyspiańskiego, dał Z. Szpinger.

W Teatrze Miejskim w Łodzi po szekspirowskiem **„Poskromieniu złośnicy“**, zagranem nieco ciężko, ale starannie, zwłaszcza przez odtwórców głównych ról, weszła na afisz miła komedja Bus Feketego **„Trafika pani generałowej“**, wyreżyserowana szczęśliwie przez Bujańskiego. Na czoło wykonawców wysunęła się Zula Dywińska, grająca rolę podlotką z dużym wdziękiem i talentem, a inne role znalazły dobrych odtwórców, zwłaszcza w Skrzydłowskiej, Dunajewskiej i Hierowskim.

W Teatrze Narodowym w Warszawie na zmianę grany jest **„Fryderyk Wielki“** Nowaczyńskiego z niezrównanym Solskim, oraz Zofji Nałkowskiej **„Niedobra miłość“**. Jest to dokonana przez samą autorkę przeróbka jej świetnej powieści, zamknięta w trzy akty. Nałkowska jest doskonałym dramaturgiem, ale przeróbka powieści nie udała jej się, gdyż zaciera rysunek psychologiczny postaci. Sztukę bardzo pieczołowicie wyreżyserował Ordyński, a główne postacie bardzo dobrze odtwarzają Gorczyńska, Romanówna, Andryczówna i zwłaszcza Woskowski.

(swb).

To warto poznać...

Dymsza i Edmund Zayenda w „Bagateli“

Po gościnnym występie Toli Mankiewiczówny w ub. miesiącu, obecnie teatr rewjowy „Bagatela“ krakowska znów gościć będzie w bieżącą niedzielę i przyszły poniedziałek i wtorek dwóch wybitnych i wysoce lubianych piosenkarzy: Adolfa Dymszę i Edmunda Zayendę. Dymsza, znany wszystkim z filmów, a wielu ze scenicznych jego występów zyskał sobie miano „króla humoru“, to też w rewji „Ja wam pokażę“ wszyscy bawić się będą po królewsku! Edmund Zayenda, członek operetki lwowskiej, a poprzednio „Bandy warszawskiej“ jest wybitnym piosenkarzem, którego poza wielkiemi miastami poznała również prowincja, jak



Edmund Zayenda.

Toruń, Bydgoszcz itd. Ostatnio p. Zayenda zyskał sobie wielką sympatję i powodzenie u publiczności wileńskiej dzięki nadwyraz finezyjnej swej sztuce piosenkarskiej. „Ja wam pokażę“ ...pokaże więc Krakowowi rzeczy godne widzenia i słyszenia!

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 9. II.

12.15: Poranek Symfoniczny.
14.00: „Hanka“ — fragment z powieści Romana Tuszowskiego.
14.20: „Cyganerja“ — Giacomo Puccini'ego, I Akt.
16.00: „O czarnej Republice“ — pogadanka.
17.00: Muzyka taneczna.
17.40: Wileńska migawka regjonalna.
18.00: Recital skrzypcowy Lili Hakowskiej.
18.30: „Goście na wiecu“ — słuchowisko oryginalne.
21.00: Na wesołej lwowskiej fali.
22.00: Koncert muzyki tanecznej.

Poniedziałek, 10. II.

12.15: Po jednej piosence.
13.00: Koncert d-moll — Wieniawskiego.
15.30: Koncert zespołu Wiktora Tychowskiego.
16.15: Muzyka lekka.
16.45: „List“ — wesoły skecz Ignacego Kraszewskiego.
17.00: Zasłużone kobiety — pogadanka.
17.20: Recital fortepianowy.
18.00: Z pogodnych pieśni Stanisława Niewiadomskiego.
20.00: Rewja gwiazd filmowych.
20.25: Transmisje z Budapesztu fragmentu Koncertu Symfonicznego.

Wtorek, 11. II.

12.15: „Bandera polska na Bałtyku“ — aud. dla szkół.
12.30: Muzyka lekka.
16.15: „Nastroje zimowe“ — koncert.
17.00: „Myślące maszyny“ — odczyt.
17.15: Recital Mieczysława Szaleskiego.
18.00: „Olimpjada tenorów“.
18.55: „Co to jest giełda“ — pogadanka.
20.00: Koncert symfoniczny z Łodzi.
22.30: Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen.
22.35: Lecznicze stosowanie witamin — pogadanka dla lekarzy.
23.10: Muzyka taneczna.

Środa, 12. II.

12.30: Wielkie potpourri z melodyj Jana Straussa.
16.00: Wędrówki dookoła globu — pogadanka dla dzieci.
16.20: Koncert na obój i fortepian — Goossens'a.
16.45: Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja.
17.00: „Urok naszej prowinji“ — odczyt z cyklu „Dyskutujmy“.
17.20: Pieśni Śląskie.
17.50: Świat się śmieje.
21.00: Twórczość Fryderyka Chopina — XXIV audycja z radjowego cyklu.
21.35: „Od Mickiewicza do Staffa“ — kwadrans poetycki.
22.00: „Skąd się wzięło Echo“ — audycja muzyczna.
22.30: Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen.
22.35: Muzyka taneczna.

Czwartek, 13. II.

12.15: Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych.
13.00: Sonata d-moll Jana Sebastjana Bacha.
15.30: Muzyka lekka.
16.00: Gadanina Starego Doktora — audycja dla dzieci.
16.15: Koncert orkiestry mandolinistów.
20.00: „Nas dwóch i jeden smoking“ — wesoła aud. muzyczna.
20.55: Obrona przeciwlotniczo-gazowa.
21.00: „Skrzydła“ — słuchowisko oryginalne.

Piątek, 14. II.

15.30: Muzyka salonowa.
16.00: Pogadanka dla chorych.
16.15: Koncert w wykonaniu zespołu Tadeusza Seredyńskiego.
16.45: „Przyroda w lutym“ — pogadanka dla dzieci.
17.20: Płyty dla znawców.
18.00: Koncert Zespołu Śpiewaczego „Echo“ z Łodzi.
20.00: „Monolog przysłowiowy“.
20.10: „Lohengrin“ — opera Ryszarda Wagnera.
22.30: Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen.
22.50: Muzyka taneczna.

Sobota, 15. II.

12.25: Orkiestra w wyk. Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
15.00: „Pikantny sosik“ — epizod z powieści Sigridy Boo.
15.50: Recital fortepianowy.
16.15: „Król Jan III na weselu“ — słuchowisko dla dzieci.
17.00: „Szproty idą“ — reportaż.
17.15: Nowości z płyt.
20.00: „Od chatki do chatki“ — suita ludowa Sygietyńskiego.
21.50: Wesoła Syrena.
22.00: Koncert Zespołu Henryka Golda.
22.30: Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.